BAŃKI MYDLANE



(z „Kurjera Warszawskiego")

EL.

(Kazimierz Laskowski).

Wydawca

S. Tymosz Szary-Zaleski.

WARSZAWA

Skład główny w Księgarni E. Wendego i S-ki

DRUK PIOTRA LASKAUERA i S-ki

· 1902

BAŃKI MYDLANE.

Druk Piotra Laskauera i S-ki.

El... (Kazimierz Laskowski)

BAŃKI MYDLANE

(WIERSZE I ŚPIEWKI)

Z przedmową D-ra Władysława Rabskiego.

WARSZAWA

1902

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Мая 1901 года.

PRZEDMOWA.

Mam ojcem chrzestnym być dla tej nowej książki Kazimierza Laskowskiego i utartym zwyczajem mówić mam jak botanik o kwiatach poezyi: z jakiej gleby wyrosły, jakie barwy mają, jakie korzenie, kielichy, łodygi, nasienniki?

Ale kwiaty te leżą przedemną i taki ich zapach, że zamiast klasyfikować je w uczonej rozprawie, pieszczę się tylko ich wonią. Pachną— czasem jak siano na łąkach, czasem jak łubin żółty, jak lipowy kwiat lub polne sasanki. I wtedy właśnie, wtedy przedewszystkiem, gdy te piosnki z pól i lasów naszych wonie swoje czerpią, gdy zapłaczą na przyzbie chłopskiej chałupy, gdy zadzwonią muzyką ligawki pastuszej, gdy w takt obertasa w pląs idą, wtedy mają one urok najsilniejszy. Laskowski jest dziecięciem wsi i w rozgwarze wielkiego miasta ustawicznie ku niej zwraca tęskne oczy. Ta tęsknota

przepaja wszystkie barwy na palecie jego i nawet tam, gdzie pozornie surowy realizm składa rymy poety, plącze się ona jak ciche westchnienie. Realizm Laskowskiego jest zawsze ogrzany niezmiernie głębokiem uczuciem, a oczy swe chętniej zwraca ku słońcu, kwiatom, modlitwom, weselom życia chłopskiego, niż ku szkieletowym widmom nędzy posępnej. Czasem zapłacze wprawdzie na wiejskim cmentarzu, czasem maluje obraz biedy na pozimku, ale wtedy unika barw surowych i twardych dźwięków naturalizmu, jakby mu żal było mówić do ludzi zgrzytami o tej ziemi, tym ludzie, tej chacie, którą ukochał serdecznie.

Tak! «grajkiem wiejskim» jest Laskowski i to granie miłuje on najgłębiej. Ale rzucony na bruk wielkomiejski i skazany na pracę dla chleba, na poezję «z numeru na numer», grajek ten zaczął coraz częściej uderzać w inne struny życia, i ku wielkiemu zdziwieniu tych, którzy talent jego zamykali w skrzyneczce z napisem «z chłopskiej piersi», zajaśniał nagle jako «piosenkarz» pierwszorzędny, który niezawodnie byłby królem Montmartre'u naszego, gdyby Warszawa swój Montmartre posiadała. Jego «bańki mydlane», drukowane codziennie na łamach Kurjera Warszawskiego, świadczą nietylko o niewyczerpanem bogactwie pomysłów i form artystycznych, lecz o wielkiej sile plastyki, humoru, dowcipu i obserwacyi. Nie naśladuje on bynaj-

mniej owych sławnych «chansons», które codziennie rozbrzmiewają na paryskim bruku w takim Chat noir lub Boite à Furcy, lecz śpiewa na swój własny oryginalny i niezmiernie interesujący sposób o tem, co chwila bieżąca niesie, lub na czem oko w przelocie spocznie na ulicy, w knajpie, w salonie, na strychu. Satyra jego jest mniej gryząca i mniej naturalistyczna, niż u francuskich szansonistów, drgnienia «nagiej duszy» błąkające się stosownie do mody, w piosenkach Montmartrowskich są zupełnie obce Laskowskiemu, jego uśmiech jest pogodny, jego ironia nie szarpie, jego uczucia i poglądy są proste, niekiedy za proste, na dziennikarski przykrojone fason.

I oto chciałem tylko popieścić się trochę zapachem kwiatów prześlicznych, a zaczynam botanicznie analizować. Uczynię to może szerzej i głębiej na innem miejscu, tu tylko podnoszę z naciskiem, że Laskowski w poezyi ostatniej doby jest poniekąd samotnikiem, indywidualnością silną, jakby oderwaną od tła ogólnego, i zupełnie nieprzystępną dla doktryn i «dreszczów» młodego pokolenia poetów. Jest sam sobą: pierwszorzędny «grajek wiejski» i doskonały «piosenkarz».

Władysław Rabski.

WIEŚ.

*   *
*

Przysłała mi raz Muza—pieśń
Trzy wróżki z swego dworu —
I dozwoliła jedną wziąć
Za swoją do wyboru!
Spłynęły do mnie wszystkie trzy
Za progi macierzyste,
Powabne, jak młodzieńcze sny,
Jak zorza promieniste!
Na jednej, snać z rycerskich cór,
Purpura! Złotogłowie!
Rapsodu w uściech mężny wtór,
Powaga w każdem słowie...
U drugiej pierś jedwabiów nić
W dzierzgane kryła siecie...
Na trzeciej najmniej zdobny strój:
We włosach polne kwiecie,
Lniana koszulka—prosty krój—
Spływała w bose nóżki...

Służebną była wróżka ta,
Paniami tamte wróżki.
I—nie wiedziałem, którą brać,
Sadowić którą w chacie!
Czy w serce wpleść jedwabiów nić?
Czy spowić je w szkarłacie?!
Ważyłem długo chęci swe,
W czar—dziewy zapatrzony!
Dla której w duszy stawić mam
Wszechwładne uczuć trony!?
Marzyłem... Nagle... dziwna moc
Podjęła moją rękę!
Skoczyłem w lot! objąłem w pół!
Służebną w pół piosenkę!
Tę najbiedniejszą wziąłem z dziew,
Co się po miedzach błąka,
Dla której berłem—polny kwiat,
Wezgłowiem zielna łąka!
Co z nieuczonych rodem ust!
Co nad kołyską siada,
Co w kmiecej izbie w godny czas
Czarowną baśń powiada!
Objąłem w pół prostaczą pieśń!
I wiano brałem sute:
Ligawek wierzbnych świeży pęk,
We łzach skąpaną nutę!

MOJA NUTA.

Moja nuta, moja własna:
To ta po dolinie,
Co nadbrzeżnem kwieciem krasna,
Z szmerem rzeki płynie;
Co to dźwięczne nosi echa
Po leśnych pagórkach,
W jasnem słonku się uśmiecha,
Tonie w śnieżnych chmurkach!

Moja nuta, ta rodzona
Dziewa—kołowrotek;
Lniana kądziel u wrzeciona,
Zgrzebnej przędzy motek;
To matula nad kołyską
W nockę księżycową;
To żeńcami rojne rżysko
Porą dożynkową!

Moja nuta, ta kochana:
Za pługiem w siermiędze,
Czarną skibą przepasana
Na zagonów wstędze;
To ligawek smętne granie,
Żórawiane studnie;
To pastuszych stad klaskanie,
Dzwonek na południe!

Moja nuta, ta weselna:
To dworek szlachecki,
Stare lipy, gędźba pszczelna,
Taniec mazowiecki;
To ów zegar kurantowy
W portretowej sali;
Podgolone w bliznach głowy,
Misiurka ze stali.

Moja nuta, ta święcona:
Cmentarniane brzozki,
Sygnaturka rozdzwoniona,
Krzyż na skraju wioski:
To kurhanek darnią szyty,
Pasyjka przy strudze,
Kielich życia niedopity,
Łzy swoje, łzy cudze!

Moja nuta, moja własna!
Tać ją ziemia rodzi!
Jej weselem płynie jasna,
Jej żalem zawodzi!
Moja nuta—krew serdeczna!
Tyleć mego, tyle,
Że gdy zajrzy ciemność wieczna,
Żałka na mogile!

ROZEŚMIAŁA MI SIĘ DUSZA...

Roześmiała mi się dusza —
Kiej dziewucha na odpuście!
Gdym wioskowe ujrzał drzewa,
Moje drzewa! w barwnej chuście!

Moje lipy pozłociste!
Osypane piosnką pszczelną —
Te topólki wystrzeliste,
Ponad wieżę, nad kościelną!

Szmaragdową mą dobrowę,
Srebrnokore moje brzozki!
Tę sosenkę z «obrazikiem» —
Co w opłotkach strzeże wioski!

Roześmiała mi się dusza,
Kiej dziewucha na odpuście!
I wybiegła z piersi drżącej
Na te łąki przy upuście...

Na te łąki, na te pola!
Między maki i bławaty —
Za jaskółki biegła lotem
Ponad strzechy! ponad chaty!

Popłynęła na zagrody
Z skowrończaną pieśnią społem,
Razem z rosą porankową
Opadała ponad siołem!

Roześmiała mi się dusza!
Kiej dziewucha na odpuście!
Skorom ujrzał starą matuś!
Kmiecą matuś w białej chuście...!

Starą matuś z dwojakami —
Co do żniwa niosła warzę!
Wiejską dziatwę na wygonie!
Swoich ludzi! swoje twarze!

Te kapoty, te sukmany,
Te magierki, zgięte z ucha,
Roześmiała mi się dusza!
Jak w weselny czas młoducha!

Roześmiała mi się dusza!
Kiej dziewucha na odpuście!
Gdy mię kurny dym zaleciał
Po świerkowym smolnym chruście...

Roześmiała mi się dusza!
Do tej ziemi z chlebem w łonie —
Do tych drzewin! do tych ludzi!
Do tej dziatwy na wygonie!

Zanuciła mi piosenkę
Taką swoją, jak ta macierz!
I kazała nosić w sercu,
Za codzienny wtórzyć pacierz.

Z SIEROCYCH DUM.

Śnili mi się matula, co umarli przed rokiem,
Że znów zeszli na ziemię z mgły porannej obłokiem,
Co jak wstęga się wije z ponadrzecznych mokradli...
W białą chustę odziani, w której w trumnę się
[kładli,
Z obrazikiem na szyi—Jasnogórskiej Panienki,
Com go sama nawlekła na sznureczek, na cienki,
I w tej samej zapasce, com z jarmarku przyniosła!
I dziwili się bardzo, żem już tyla urosła!...
Pogłaskali po twarzy, jak to dawniej czynili;
Z płowych włosów warkoczyk — aż do pasa mi
[zwili...
I o wszystko pytali! Czy braciszek się chowa?
Tatusiowi jak idzie gospodarka domowa?
Czy macocha nie bije? i czy głodem nie morzy?
I o krówkę wiśniówkę, i o cały świat Boży!
Nie zabyli tam w niebie i trzech nitek korali,
Co mi chrzestni w podarku na wiązanie je dali...
Koraliki! Już latoś je macocha zabrała...
Alem tego nie rzekła—boby matuś płakała!
Przygarnęli mię jeszcze i z krzyżykiem nad głową
Na odchodnem wyrzekli... oj pamiętam! to słowo:
Nie frasuj się, robaczku! gdy cię dola przyciska!
Gdy cię bieda przygniecie, źli dokuczą ludziska...
Uproszę się aniołów i powrócę po ciebie!
Bo dla biednej sieroty zawsze kącik jest w niebie.

BOCIANY.

Smutno mi, Panie! Wioską mazowiecką
Z rozpiętym krzyżem u piaszczystej dróżki
Idzie za służbą z ojców chaty dziecko
Bosemi nóżki...
Że dlań zabrakło chleba na tym łanie —
Smutno mi, Panie!

I ja tak niegdyś szedłem między ludzi
Po uznojoną miskę soczewicy...
Więc widok dziecka roje wspomnień budzi
Własnej tęsknicy!
Jaką też dolę dziecina wyorze?
Smutno mi Boże!

Smutno mi, Panie! Zmierzchem na wygonie
Ptaszęce rzesze zapadły klekotem;
Przyszły pożegnać macierzyste błonie,
Żegnać z odlotem.
Że nie powrócą aż w wiosny zaranie —
Smutno mi, Panie!

Nad moją chatką również o jesieni
Bocianie wiece zataczały kołem...
I powracały w wiosennej zieleni,
Płynąc nad siołem.
Że człowiek ptakiem powrócić nie może...
Smutno mi, Boże!

NA ZAGRODZIE.

Gdyby mi tak los w nagrodę
Chociaż chłopską dał zagrodę,
Chociaż chłopską dał!

Porałbym się z biedą, porał!
Świętą ziemię płużył, orał,
Swojski zagon siał!

Pojąłbym se jaką Zochę...
Ona w izbie, ja za sochę —
Byle z dolą iść.

Ona w izbie, czy komorze,
A ja w pola, w ranne zorze,
Między zbożną kiść!

W dzień robotny z sierpem, kosą,
Ona boso i ja boso,
Na zagonków sznur!

Ona w kiecce, ja w sukmanie,
Żur na obiad, na śniadanie.
Na odwieczerz żur!

Nie brakłoby nigdy chleba,
Ani wody, ani nieba,
Byłby własny kąt!

Chałupina na węgiełkach,
Podmurówka na cegiełkach,
We dwa okna front!

Byłby sadek pod oknami
Z słonecznikiem, z nagiętkami
Całe rzędy śliw!
A za sadem, od podwórka,
Stodolina i obórka,
Na gadzinę chléw!
W środku studnia, żuraw, wiadro,
Wszystko blisko, pod *zanadrą!*
Jeno sięgnąć tuż!
Wszyćko w gębie! i na oku!
Od złych ludzi, czy uroku —
Człek sam sobie stróż!
A jakbym się podpanoszył —
Nową strzechą chatę poszył,
Miał dobytku dość...
To postarałbym się *zara*,
By zleciała boćków para,
Bo to dobry gość!
Ptak na dachu—ja w chałupie,
Na kolebkę deski łupię,
Co rdzenniejszy słój!
Niechby człeku się nie cniło,
Trocha krzyku w izbie było,
Jaki drobiazg swój!
Wieprzka zakłułbym na chrzciny —
Dał napitku i gęsiny,
Chleba, sera w bród!
Chłopak Bartek! A dziewczyna
Albo Kaśka—lub Maryna...
Ale chłopak wprzód.

Wodziłbym go z sobą w pole,
Na oraną świeżą rolę!
Na pożęty snop.
Niechby wiedział z maleńkości,
Że tu wyrósł! że kość z kości,
Krew z krwie polski chłop!
Gdyby mi tak los w nagrodę,
Choćby chłopską dał zagrodę,
Choćby kmiecy łan!
Żyłbym sobie po szlachecku,
Niby w niebie na zapiecku,
Niczem wielki pan!

NA „GROMNICZNĄ“.

Szumi zamieć lasami,
Kiść zniżając żywiczną,
Oj! uścieleż! uściele!
Na Panienkę Gromniczną!
Polem — śniegu na chłopa,
Drogą — kopno do pasa,
A wiatr sieje i sieje
Śnieżną zaspą od lasa!
Już opłotków nie widać,
Znikły żerdzie i chrusty...

Kędy spojrzeć — bieluchno.
Jakby lniane słał chusty!
A śnieg leci i leci,
Niby ziarno rzeszotem,
Niby białe gołębie
Popod słonkiem, pod złotem!
Że ci słońcu dziwota...
Rade świecić — nie może!

Czasem jeno rozbłyśnie,
Jak łuczywo w komorze
I w złociste promienie
Białą ziemię zobręczy,
Że zda ci się... świat cały
Jakby zawisł na tęczy!
Jakby w górę ku niebu
Szedł za drogą, za mleczną...
Oj! uścieleż! uściele!
Na Panienkę Gromniczną!
. . . .
Grają dzwony od rana
Na odpustny, na dzionek!
Śpiewa kościół z modrzewia
Niby z wiosną skowronek.
Z sygnaturki ku niebu
Płyną dźwięki i płyną
Do Najświętszej Panienki
Z Najmilejszą Dzieciną!

Płyną tony nabożne.
Jak ta zamieć nad gajem!
Po przez pola, przez śnieżne,
Ciągną ludzie przełajem.

Brną do kolan w śnieżycy,
Jak w mokradli nadrzécznej...
Oj! usłałoż! usłałoż!
W dzień *Maryi Gromnicznej!*

Hula wicher po polu,
Szumi zamieć po borze;
Stary kościół z modrzewia
Dziwnie płonie i gorze.

Przez otwarte oścież
Lud przeciska się ławą,
«Różańcowi» ze światłem
Przyklękają przed nawą;

Dalej rzędem kobiety,
Siwe starce i dzieci...
W każdym ręku gromnica
Jarkiem światłem się świeci,

Żółte światło woskowe
Błyskotliwą drga rzęsą,
A ludziska wzdychają,
Że aż ściany się trzęsą!

Do tej Pani w ołtarzu,
W pozłocistym robronie,
Do tej Matki Gromnicznej,
O śmierć lekką przy zgonie!

O śmierć lekką przy zgonie,
O zbawienie wieczyste,
Płoną serca modlitwą,
Jak te woski ogniste!

Siwy proboszcz, staruszek,
Skończył śpiewać wotywę...
Nad pogłowiem klęczącem
Wznosi dłonie sędziwe:

Błogosławi na życie,
Co jest płaczu padołem...
Łzy serdeczne mu świecą
Jak gromnica — pod czołem!

Jako gwiazdy obfite,
W czystej wodzie krynicznej,
Świecą oczy, wzniesione
Do *Maryi Gromnicznej!*

«Matko Boża, litosna,
«Co królujesz tam, w niebie!
«Miej lud wierny w opiece,
«W każdej wspieraj potrzebie.

«Daj mu, Panno Przeczysta
«Z Twem Dzieciątkiem Przeświętem,
«Cichą dolę wytrwania!»
Lud wybucha lamentem:

Płaczą starzy i młodzi,
I kobiety, i dzieci!
. . . .

A wiatr świszcze na polu,
A śnieg leci i leci!

Ścieżynami, drożyną,
Biały tuman się wije!
Czasem wrony zakraczą,
Lub wilczysko zawyje!

Idą ludzie z kościoła
Bez obawy i lęku —
Ten się śmierci nie boi,
Co gromnicę ma w ręku!

WRACAM Z WIEJSKIEGO WODEWILU.

Wracam z wiejskiego *wodewilu*...
Oklaskiwałem sercem szczerem!
Maryśka była *primadonną*,
A stary włodarz — *reżyserem*.

Za *scenę* służył zagon bujny,
Żrałego zboża złote kłosy,
Kinkietem — jasna rozświetl słonka,
A *dekoracyą* — sierpy, kosy.

W *antraktach* grała żab drużyna
W zielnych moczarach na wądole;
Nie zbrakło nawet zwykłej *klaki*:
Klekotał bociek na stodole.

Spektakl rozpoczął się o świcie,
Gdy brzask z zamroku się wyrywa,

Kurtyna spadła o zachodzie,
A tytuł sztuki: Polskie żniwa.

Artyści grali bez *suflera*,
Publiczność była zachwyconą...
Nawet surowy *krytyk*, Joel,
Gdyż sto par kupił «na zielono».

POCZCIAREK.

Każda poczta przed laty
Miała swego Bekwarka...
Lecz nie było lutnisty
Nad Tomasza Poczciarka.

Dawne, dawne to czasy,
Proch z tych ludzi, z tych koni,
Ale trąbka Tomkowa
Dotąd w sercu mi dzwoni!

Gdy, bywało, założy
Parę gniadych do bryki,
Tobyś pędził w kraj świata
Słuchać takiej muzyki!

Gdy, bywało, założy
Kiedy strzepnie lejcami,
Kiedy zadmie przegrywkę...
Choćbyś nie rad, świeć łzami!

Bo i w duszy coś szepce
I po piersiach coś chodzi...
Ej! nad Tomka Poczciarka
Już się drugi nie zrodzi!

Gdzie się uczył tej sztuki,
Nie każdemu powiadał,
Nie każdemu tak trąbił
I nie z każdym rad gadał.

Ale niech mu kto z panów
Umiał trafić do smaku,
To się jeno obejrzał
Po wiorstowym po szlaku

I cudeńka wnet prawił,
I na trąbce wnet wtórzył,
Jak to było w te lata,
Gdy na poczcie nie służył.

Dawne, dawne to czasy,
Proch z tych ludzi, z tych koni
Ale trąbka Tomkowa
Dotąd w tercu mi dzwoni!

Dotąd dzwoni po sercu
Starem echem, tem naszem—
Jak to ongi bywało,
Gdy człek jeździł z Tomaszem!

M A Z U R.

Rozśpiewała się skrzypeczka
Druha!
«Uciekła mi przepióreczka»...
Hu! ha!
Żebyś chciała w sercu ino
Czytać,
Dałabyś się wnet, ptaszyno,
Schwytać!
Oj! schwytać cię ptaszyno!
Oj! objąć cię dziewczyno!

Uwiłbym ci takie gniazdko
Uwił,
Żeby do cię miesiąc z gwiazdką
Mówił,
Żeby słonko nocką lśniło
Ciemną,
A twe serce zawdy biło
Ze mną!
Oj! biło zawdy ze mną!
Oj! choćby nocką ciemną!

Powiódłbym cię w takie strony
Raju,
Kędy zorzą świat złocony
W maju!

Gdzie się miodu rzeka cała
Toczy.
Byleś sobie spojrzeć dała
W oczy!
Oj! rzeka miodu toczy!
Oj! spojrzeć dała w oczy!

Małą chwilkę spojrzę ino
Krótką,
Potem — swaty szlę, dziewczyno,
Z wódką!
Pani matce się w kolano
Skłonię,
Niech ptaszynę ukochaną
Zgonię!
Oj! do kolan się skłonię!
Oj! niech dziewczynę zgonię!

Mam cię ptaszku! Grać mi ładnie...
Hu! ha!
Jak zapłacę, czapka spadnie
Z ucha!
Na bok ludy, będzież taniec
Chybki,
Że nam, Maryś, nie nadążą
Skrzypki!
Oj, trzeba przyzwać basy,
Na gody, na wywczasy!
Hu! ha!

MIAŁEM SZKAPKĘ...

Miałem szkapkę białonóżkę
Swego chowu... Wiatr nie koń!
Grubopłaski, noga sucha,
Chrap rozdęty, choć kładź dłoń!

Szyjka sarnia, pierś wypukła, skórę siatka kryła żył... A już chody — proszę siadać! Jak w poduszkach człowiek tkwił!

Polowałem na nim lata, harapnikiem kiwał kot... Najtęższego, panie, gracza razem z psami doszedł w lot!

A raz nawet...

Ot opowiem! kronikarskich godne akt! Sforsowałem na nim lisa popod śniegiem! Słowo! fakt!...

Zima była djablo kopna, śnieg po chałup sięgał dach... zasypało pola, drogi, kędy spojrzeć—biały łach! ani sposób ruszyć z domu... Siedzę tedy zły jak biés! aż tu, panie, wpada psiarczyk:

— Jaśnie panie! w krzakach lis!

Dawać konia! psy na smycze... W pół pacierza mamy trop...

Lis obkłada «okrawkami», *haukując* tak jak chłop. Dojechaliśmy na oko...

Wyczha pieski! huś go hep!

Poszły wierzchem po lodowcu, koń zapada po sam łeb!

Śnieg był górą przymarznięty, ale dołem istny puch... co się zbierze białonóżka, to po szyję w zaspy: buch.

Co tu robić? — tracę głowę! Wtem... mój szkapka... nagle... w mig! wyciąga się jako struna i chrapami prosto w śnieg!

W pierwszej chwili, nie zapieram, wstrząsnął całą piersią dreszcz... A mój szkapka płynie w śniegu, niczem w wodzie karp lub leszcz!...

Przejechałem, jak tunelem, popod tropem lisim w cwał! Nim mykita dopadł lasu, jam mu, panie, *obrót* dał, psy dopadły z drugiej strony i za «kitę» zaraz cap! jam mu, panie, harapnikiem z białonóżki...

Perła szkap!

Lis był olbrzym, okazały, upasiony, jako pień!

Nie wierzycie? Słowo daję!! mam lisiurkę po dziś dzień!!

ANDRZEJKI.

W pokoju cioci śmiech i gwar,
Kominek blaskiem sieje...
Ciocia tygielek kładzie w żar
I żółte woski grzeje!

W pokoju cioci dziatwy rój
Radością promienieje...
«Ciotuniu złota! skarbie mój!
Niech ciocia co uleje!»
Chichocze dziatwa, klaska w dłoń
Łuczywo zwolna tleje...
Ciotunia chyli smutną skroń
I żółte woski leje!
Rycerze, lalki, wieńce, kwieć,
Marzenia i nadzieje,
Co tylko młodość pragnie mieć,
Ciotunia wszystko leje!
W pokoju dzieci zamilkł gwar,
Kominek już nie grzeje...
Ciotunia w skrzepły patrzy żar
I łzy rzęsiste leje!
W pokoju cioci cisza, mrok...
Gwiazdami nocka sieje...
Ciotunia rzewny wznosi wzrok
I łzy rzęsiste leje!
Zwiesiła smutnie siwą skroń,
Jak drzewko na zawieje...
Zawiędły bukiet bierze w dłoń
I łzy rzęsiste leje!
Zawiędły bukiet... Pęczek bzu!
Wiośniane serca dzieje!
Ciotunia szepce: «Pokój mu!»
I łzy rzęsiste leje!

O JESIENI.

Zapachniało wiosną o jesieni...
Przymrużone podniósł oczy kwiat!
Leci echem śpiew ptaszyn w przestrzeni!
W spławie ciepłych słonecznych promieni,
Zda się majem zmartwychwstawać świat!
Grają wierzby, bezlistne, a grają,
Obnażony gędźbi olchy czub,
Płową miedzą łączne zioła wstają,
Kmiece pługi matkę ziemię krają,
Rozorując tylu bytów grób!
Zapachniało majem o jesieni...
Poszło życie smugiem rdzawych rżysk!
Wszystko barwą nadziei się mieni...
Czemuż szczęścia z mogilnych kamieni
Nie rozbudzi żaden słońca błysk!

JESIEN.

Czegoś smutniej duszy
Coś ugniata mózg...
Jesień liściem prószy
Z drętwiejących rózg!
Coś się w piersiach zrywa
Na sierocy ton...
O podzwonne wzywa
Drobnych bytów skon!

Coś wspomnienia prosi
Krótkiej doli swej...
Jesień szronem rosi,
Słonko grzeje mniej!

Coraz tęskniej duszy,
Rośnie, rośnie żal...
Jesień liściem prószy
W niepowrotną dal!

Zimny wicher targa
Drzew skostniałych czub...
Jakaś w sercu skarga,
Coś się kładzie w grób!

Coś zawodzi płaczem...
Drży zawiędły susz
Za życiem tułaczem,
Co nie wróci już!

Coraz cięższej w duszy
Brzmi zwątpienia głos...
Jesień liściem prószy,
Jesień srebrzy włos!

Gędźbi myśl żałośnie,
Sercem idzie chłód...
Po minionej wiośnie
Gaśnię tęcza złud!

Coś się w piersiach zrywa...
Prysnął rojeń czar!
Pajęcze ogniwa
Młodocianych mar!

Czegoś smutniej duszy,
Coś tęsknicą łka...
Jesień liściem prószy...
W oku błysła łza!

W KUŹNI.

Nizkie chaty, białe brzozki,
Przy gościńcu żerdny płot,
A za płotkiem, w sercu wioski
W starej kuźni bije młot,
Bije młot!
Ledwie rankiem promyk złoty
Na grzebienie padnie strzech,
W starej kuźni dzwonią młoty
I kowalski huczy miech!
W starej kuźni kowal znany
Na «okolic»! majster chwat!
Ze starymi jeszcze pany
Z niepamiętnych osiadł lat!
Siwa głowa na majsterku,
Krzyż latami zgięty w łuk...
Lecz tnij zagon choć po «szczerku»,
Gdy «uskibi»—stary—pług!
Sierp «uzębi», wóz wykuje,
Po wybojach cwałem goń!
A jak kosę «nastaluje»,
Po makówkach choćby dzwoń!

Nizkie chaty, białe brzozki,
Przy gościńcu żerdny płot,
A za płotkiem, w sercu wioski
W starej kuźni bije młot.
W starej kuźni kowal znany
Na «okolic»! majster chwat!
Ze starymi jeszcze pany
Z dawien dawnych osiadł lat!
Stary majster przy kowadle
Strawił większe życia pół,
Jeszcze w głowie były trznadle,
Gdy w gołoledź konie kuł.
Potem miewał moc roboty...
W dobrych czasach majster żył!
Jeno śpiewał dla ochoty,
Dniem i nocką młotem bił!
Dziś włos biały u majsterka,
W kuźni szpary, spróchniał płot,
A czy kosa, czy siekierka,
To «kiej» piórko śmiga młot!
Śmiga młot!

W ZIEMIAŃSKIM DWORKU.

W ziemiańskim dworku—na podsieniu
Rodzina gwarzy dziedzicowa...
Wieczornym szmerem grają drzewa:
Topole, lipy i dąbrowa...

Szlachecki dworek z przystawkami,
Pokoleń go stawiały dłonie!
Gontowy daszek mchem porasta,
Niby siwizną starca skronie!

Bielone ściany wrosłe w ziemię,
Na modrzewiowym wsparte zrębie —
Ganek na słupkach, winem spięty —
Nad gankiem dymnik i... gołębie.

Przed dworkiem zieleń szmaragdową
Żywopłot strzeże z róży dzikiéj...
W pośrodku kompas rżnięty w głazie...
Dalej obórka i kurniki...

Szlachecki dworek z przystawkami
Cały obrządek ma na oku —
Stodoły, stajnie, rodne niwy,
Co złotem płyną w «dobrym» roku...

Na modrzewiowym zrębie wsparty,
Niby nad żniwem czujny włodarz,
Od wieku patrzy na wieś całą,
Jak dobry ojciec i gospodarz...

Kłaniają mu się pszenne łany,
Czapkują ziela łączne z borem...
Bywa! w dożynki i «gromada»
Staje z pokłonem przede dworem!

Bo do dziedzica... jak do swego!
(Choćby tam było to i owo...)
We dworze znajdzie zapomogę,
Czy na ten przykład *ludzkie* słowo!

W ziemiańskim dworku na podsieniu:
Dziedzic, dziedziczka z paniczami —
Wszyscy czekają na gazety,
Bo pono wojna za morzami!

Bije się Hiszpan z «Hamerykiem»
(Sam «rzońca» mówił do karbowych),
Dziedzic Matusa pchnął na pocztę
Na jednym z siwków, z tych cugowych...

Powinien wrócić niezadługo!
Ciekawe rzeczy w tej gazecie...
Że też to drudzy ludzie wiedzą,
Co się w caluśkim dzieje świecie!

OT! CHODŹMY NA ŚWIĘCONE.

Pamiętam ja—z dziecięcych lat —
W dni jasne! roztęczone!
Pamiętam ja... nieboszczyk dziad
Wyprawiał nam «święcone»!

Pamiętam ja—szlachecki dwór,
Bielone dworku ściany,
Jadalny pokój, stoły w sznur,
W pośrodku rozsuwany...

Na stołach rząd przeróżnych ciast,
Mięsiwa, flasz z nalewką...
Prosiątko chrzanu niosło chwast!
Baranek z chorągiewką!

Syrowce wielkie w kształcie kół!
Baby! jak kopy siana!
Że się dębowy zginał stół!
Podpórka heblowana!

Po sumie—proboszcz dziadka druh,
Siwieńki pleban stary,
W komeżkach białych, chłopców dwóch,
Zjeżdżali święcić dary!

Pamiętam... klękał cały dwór:
Dziedzice czeladź społem...
Dziękczynny, szczerych modłów wtór,
Unosił się nad stołem!

Potem—dziadunio jajko brał...
I najpierw do czeladzi...
Pamiętam, że dziadunio łkał,
A nam—żal było dziadzi!

Pamiętam... raz się któryś z sług
Do kolan dziadka złożył...
Dziadunio fuknął: Wszystkich Bóg!
Równymi sobie stworzył!

I wziął go wpół i łykał łzy
I cedził tak powoli:
Z jednego prochu—ja i ty!
Na jednej obaj roli!

Pamiętam ja z dziecięcych lat...
Wspomnienia to radosne!
Hej! hej! Cóż? Życie to nie kwiat,
Raz jeden widzi wiosnę!

Raz jeden tylko miewa dni
Weselem umajone!
A potem... Śni się czasem śni!..
Oh! chodźmy na «święcone»!

Z „KŁAPACZEM".

W Maciejowej chałupie,
Przy kominie w około,
Zeszła wiankiem rodzina
I gawędzi wesoło,
Przyszedł Janek od Stacha
Do Jagusi w zaloty,
W izbie rojno i gwarno,
Ciągiem śmiechy i psoty.
Na kominie łuczywo
Smolnem światłem migoce...
Jaś powiada cudeńka,
A Jagusia chichoce.
Maciej przysiadł na ławie,
Czasem słowem zagwarzy;
Maciejowa zajęta
Wedle jadła i warzy.
Wawrzek—niby najmłodszy,
Poświstuje oberka
I jakby go paliło,
Tak on ku drzwiom wciąż zerka...

Coś pewnikiem się święci,
Mięsopustny czas przecie,
Akuratnie z «kłapaczem»
Chodzą ludzie po świecie...

Byli wczoraj na Woli,
I na pustkach u Stacha...
Ponoć Michał, przebrany
Za niedźwiedzia, psy stracha!

Może przyjdą? Ciekawość?
Pewnie przyjdą... A ino!
Jak Dąbrówki nawiedzą,
To Maciejów nie miną.

...Zadudniło przed sienią,
Wawrzek krzyknął «Oj rety!»
Powstał Maciej z siedzenia,
Powstawały kobiety.

Idą! idą! laboga!
Drzwi skrzypnęły od chaty,
Wali prosto do izby
Zwierz, jak niedźwiedź kudłaty.

Łeb, jak ceber wielgaśny,
Kielce niczem u dzika!
Na dwóch nogach jak stanie,
To powały dotyka,

Za niedźwiedziem chłopacy,
Żydek z gęsią tuż stoi...

. . . .

Musi syćko udane,
Kiej się żydek nie boi!

Musi — syćko udane,
Wawrzek krokiem do zwierza,
A zwierz prosto do garnków,
Gdzie się warzy wieczerza.
　　Zakrzyknęły kobiety,
　　Jasiek drogę zagradza...
　　Rudy żydok się chyłkiem
　　Do Jaguśki przysadza.
Do Macieja zagadał,
Niby cielę targuje,
A Jaguśka chichoce,
Ze aż kolka ją kłuje.
　　Słyszy Janek te targi,
　　Niedźwiedziowi sfolgował:
　　«Poszedł, żydzie! bo plunę!
　　«Jam już przedtem stargował!»
Żydek na bok uskoczył,
Strach mu patrzy z pod powiek...
Pełno śmiechu! miś nawet
Szczerzy zęby, jak człowiek!
　　Pełno śmiechu, wesela,
　　Na stół flaszka z kołaczem.
　　Maciej z żydkiem przypija...
　　Jaś się trąca z «kłapaczem»!
Musi — syćko udane!
I przetargi, i zwierzę,
Bo kolęda rozbrzmiewa
Przez Maćkowe ościeże!...

SUTY POGRZEB.

Trumienkę miała niemalowaną
Z desek sosnowych —
Wiązkę jej słomy pod głowę dano
Z kłosów żytniowych —

W daleką podróż wychudłe z nędzy
Okryto ciało
W zgrzebną koszulę z domowej przędzy
I chustę białą...

Szkaplerz na szyję, a krzyżyk czarny.
Z ziemskiej chudoby
Więcej nie wzięła w obwód cmentarny,
Pomiędzy groby.

Za trumną nie szli blizcy, krewniacy,
Żaden z sąsiadów —
Oprócz grabarza do smutnej pracy,
Kościelnych dziadów.

I tak samotna z rodzinnej wioski
Poszła nieboga,
Niosąc łzy swoje, żale i troski
Do stopni Boga!

Nikt nie zapłakał biednej sieroty,
Rodzic ni macierz!
A tylko lipy zielone sploty
Zmówiły pacierz.

I z brzóz cmentarnych płaczącej kosy
Nad jej mogiłą —
Wiatr strącił kilka kropel rosy...
A łez nie było!

O daj mi Panie! po dniach pokuty
Ziemskiej tułaczki —
W rodzinnej wiosce pogrzeb tak suty!
I takie płaczki!

Trzy łokcie ziemi niech mi wyznaczą,
Dziad grób wybierze,
Cmentarne drzewa niechaj zapłaczą!
Zmówią pacierze.

Więcej nie pragnę... Co z ludzkich żali?
Po co łzy bliźnie?
Byle mogiły mi nie kopali
Hen! na obczyźnie!

Bo jabym w grobie tęsknił za swemi
Za swojskiem echem,
Grzeszył miłością ojczystej ziemi
Jeśli to grzechem!...

DZWONIĄ.

Dzwonią...
Płynie słonko świtem
Skrzydłami złotemi —
Zorza pod błękitem —
Poranek na ziemi.
Idą od wsi głosy,
Idą polem, błonią...
Dzwonią sierpy, kosy,
Na «dzień dobry»... dzwonią!
Dzwonią...
Sieje słonko skwarem,
Że aż dyszy gleba.
Stanęło nad jarem
W samym środku nieba!
Stanęło jak senne!
Z rozpaloną skronią...
Żórawie studzienne
Na południe!... dzwonią!
Dzwonią...
Idzie słonko, schodzi
Za chmurki łabędzie!
Cień wieczorny chłodzi —
Zmierzch się szary przędzie!
Gwarzą wiejskie drzewa,
Kwiat oddycha wonią...
Sygnaturka śpiewa
Na «Anioł stróż»... dzwonią!

SKOŃCZYŁY SIĘ LATKA MOJE MACOSZE...

Skończyły się latka moje macosze...
Na wesele! na sieroce! was proszę...
Mój Ty Boże! Jaśko przysłał dziś swaty—
Chce mię pojąć... wziąć za swoją do chaty!

Nie wniosę mu ja nieboga nic wiana,
Ale będę pracowała od rana!
Gospodarstwa, to się całkiem nie boję—
Krówkę codzień mu napaszę, napoję...

Izbę zawsze na niedzielę—wybielę...
I na chlebuś codzień ziarna namielę!
Jak już wszystko przygotuję, ogarnę...
Chwilić czasu nie zmitrężę na marne.

Na zarobek—iść nie będę się bała...
Będą żniwa... (zawsze-m w przodku żynała).
Mój ty Boże! jak to dobrze na «swojem»
Choć się codzień napracuję ze znojem!

Już naprzykrzać się nie będę nikomu!
Ani kąta na spoczynek, ni domu...
Skończyły się latka moje macosze!
Na wesele! dobrzy ludzie was proszę!

Nie przyszłam tu po zasiłek, ni datki!
Lecz po krzyżyk... jak od ojca i matki...
Nie mam ja ci już z krewniaków nikogo!
Dobrzy ludzie! wy się cieszcie z niebogą!

Błogosławcie! na szczęśliwą na dolę...
Miejcie dla niej dobre serce i wolę.
Za kolana was uchwycę! łzą zroszę!
Na wesele! na sieroce! was proszę...

EKONOM.

Szybko w życiu awansował—
Jak to czasem się wydarza—
Z pokojowca na lokaja,
A z lokaja na pisarza.
Na pisarstwie, na prowencie,
Niezbyt długo również siedział—
Do urzędu ekonoma
Coraz mniejszy mając przedział.
Umiał czytać, pisać umiał
I tabliczkę znał mnożenia —
Przytem sprawny, w mig załatwiał
Dziedzicowe polecenia.
U dziedziczki też był w łaskach,
Bo pośladu nie żałował,
A w dodatku w wolnych chwilach
Ryby łowił i polował.
Wszystko szło mu jak po maśle...
Miał wikt dobry i opranie—
Tylko mu się nieco cniło
W kawalerskim życie stanie.

Postanowił się ożenić,
I utrafił w myśl po sercu!
Z córką dworskiej gospodyni
Wziął i stanął na kobiercu.
Dostał za nią posag suty —
Prócz pościeli i mebelków —
Dojną krowę, dwie jałówki
I w gotówce sto rubelków.
Na folwarku w dwóch stancyjkach
Zamieszkało stadło młode;
Dziedzic dał mu ordynarję
I pozwolił chować trzodę.
Rok, dwa jeszcze praktykował,
Czerpiąc wiedzę i naukę,
Wreszcie dziedzic ekonomem
Zamianował Marka Włókę.
Teraz szło mu jeszcze lepiej!
Nosi kurtę bramowaną,
Na wotywie w ławkach siada,
I herbatę pija rano.
W dzień powszedni po folwarku
Do zachodu drepce słońca —
Odkrywają ludzie głowy,
Kiedy nadejść ma «pan rzońca».
Z gospodarstwem jako tako
Daje sobie radę Włóka,
Wprawdzie prochu nie wynajdzie,
Ameryki nie odszuka,
Lecz na roli zna się nieźle,
Trzeba zorać — to zaorze,

Trzeba zasiać — to zasieje
We właściwej zawsze porze;
Trzeba skarcić przy dziedzicu,
To języka nie żałuje,
Trzeba chwalić — to pochwali,
A dworować — to dworuje.
To też dziedzic, rad z wyręki,
Lubi szczerze Włókę Marka —
Często więc na dyspozycji
Klną na żydów i Bismarka!
«Ceny nizkie — zboże spada...
To niemiecka wszystko sztuka»!
— O pewnikiem! jaśnie panie! —
Dopowiada Marek Włóka.

GOSPOSIA.

Mało we wsi — na gminę!
(Zliczyć panny i żony)
Nad poczciwą Mlekosię
Nie ma grubszej persony!

Niby beczka kapusty,
Lub od barci odziomek!
Co tam sama wójcina!
Choć nie byle ułomek!

Gdy — bywało — we święto,
W której z ławek zasiędzie,
To pełniuśko, jak nabił!
Aż się paczą krawędzie!

Mało we wsi — na gminę
Choć nie nosi tiurniury
Nad poczciwą Mlekosię
Niema grubszej figury!

Krągła w sobie, jak kula,
Jak jabłuszko na twarzy —
Ze dwa korce pszenicy
Na pewniaka zaważy.

Ręce niczem konewki!
Nogi pod nią, jak kłoda!
Nie dziwota! w wygodzie
Z maleńkości, od młoda!...

Gospodynią we dworze
Lat dwadzieścia z okładem;
Zawiaduje Mlekosia
I spiżarnią i sadem.

Czy to owoc, czy nabiał,
Czy wędliny, czy trunek,
Wszystko idzie przez ręce,
Pod Mlekosi szafunek!

Choć czterdziestkę już liczy
Panieńskiego żywota —
Od świtania do nocy
Wre jej w ręku robota!

Rankiem drobiu dopatrzy —
Potem z kuchtą narada,
Na południe do masła
Sama z kierznią zasiada...

W każdym kącie jej pełno —
Nie wywiedzie jej w pole!
Wszystko zliczy, zrachuje,
Nawet oka w rosole!

Niechno kuchta co skrewi,
Albo wody doleje...
Da mu z pyszna! Mlekosia,
Aż się piekło rozśmieje!

Miała kiedyś Mlekosia
Wielkie szczęście do ludzi...
I dziś-by się kto trafił —
Niech się jeno obchudzi!

Trudno będzie, bo trudno
Takiej pozbyć się tuszy!
A Mlekosia by rada
Znaleźć męża od duszy!

Różnych leków próbuje,
Chcąc się pozbyć tłustości,
Esencyę octową
Pije na czczo i pości.

NAD MOJĄ ZIEMIĄ.

Nad moją ziemią—moją własną—
Trzy łokcie w głąb, trzy w dłuż...
Kamiennych nie chcę płyt!
Tylko gdy zorze dzienne gasną
Niech nad nią śpiewa nocką jasną
Na «Anioł stróż»
Kościelny szczyt!

Nad moją ziemią — co jej będzie —
Trzy łokcie w dłuż, trzy w głąb...
Niech bliźnia nie lśni łza!
Tylko niech w sine chmur krawędzie
Świetlane włókna słonko przędzie —
Niech szumi dąb!
Niech rosa łka!

Nad moją ziemią — co jej stanie
Na ciało w dłuż i w szérz...
Niech ludzki nie brzmi głos!
Tylko niech zagra na kurchanie
Wiatr polny w zielnym teorbanie!
Niech wzrośnie krzyż!
I chlebny kłos!

KRAKOWIAK.

Jadę sobie od Miechowa
Gdzie mnie chciała jedna wdowa
Lekusieńko, bo przez baby,
Ale siwe, aby... aby...
Przed karczmiskiem stają,
Popasu żądają!
Przed karczmiskiem stają—
A w karczmisku grają!

Trza im wytchnąć, choćby krzynę—
Wydobyłem opałczynę,
Sypię owies, sypię sieczkę...
A człek — z ucha magiereczkę!
Do karczmiska idzie,
Poweselić w bidzie!
Do karczmiska idzie,
«Dajże wódki: żydzie»!

Zawinął się raźnie Berek,
Wychyliłem półkwaterek,
Przekąsiłem obwarzanek,
Gębe-m otarł w pułsukmanek...
Basy: dudu! dudu!
W karczmie pełno ludu!
W karczmie ludu wiela,
Jakby trzy wesela!

Samych dziewuch, jak maliny,
W kopne nie wziąłbyś drabiny!
Ochędożnie przyodziane,
W gorseciki sznurowane,
W kryzki, a falbany,
Boże mój kochany,
Choć trzymaj przez siłę,
Takie z gęby miłe!

Jedna mi się z nich udała,
Co kraciasty fartuch miała,
Warkocz płowy — w pasie cienka,
Wystrzelista jak sosenka!
Ślepki kieby tarki,
Aż mnie przeszły ciarki!
Zosia imię miała —
Sama mi pedziała.

Zapomniałem onej wdowy,
Choć ta u niej chleb gotowy,
Poprawiłem magiereczki,
Jak nie sunę do Zosieczki!...
Na bok ludy! z drogi!
Bo ja pójdę z nogi!
Masz grajku srebrniaka!
Znajże krakowiaka!

Pochwyciłem za dziewuchę,
Objąłem ją pod pazuchę,
Zatoczyłem od zapiecka,
Aż się na niej wzdęła kiecka!
Wywijam z odsiebki,
A jej świecą ślepki!
Zmięła — tak się tuli —
Wstążkę u koszuli!

Wykręciłem, jak wrzeciono!
Pedam: «Zośka! bądź mi żoną!
«Daj mi wianek swój mirtowy,
«Nie pojadę już do wdowy»!
I niosę jak piórko —
Na swoje podwórko,
Między swoje ściany...
. . . .
Takie były tany!

ŻNIWO.

Pobielałe na skwarze,
Niby przędza na rosie,
Gwarzą niwy — ku ziemi
Kłos zwieszając przy kłosie.
Całe w słońca pozłocie,
Jak te chmurki pod niebem,

Od uwrocia w uwrocie
Płyną ziarnem i chlebem!
Zagonami szmer idzie,
Niby wietrzyk w sitowiu;
Nad bruzdami sierp błyska,
Jak miesiączka na nowiu!
To zaświeci półkołem,
To znów w gąszczu zapada...
«Dana-ż moja! oj dana!»
Nuci żeńców gromada.
Przodownica na przedzie,
Za nią inni tną sznurem,
Nad żeńcami — polowy
Z leszczynowym koszturem.
Stoi cięgiem, a huka,
Choć południe się zbliża:
«Dalej! zachodź! a żywo!
Nie prostujta wciąż krzyża»!
Stojakowi rzec łatwo,
Niby czapla na bagnie,
Stoi tylko i patrzy,
A sam grzbietu nie nagnie!
«Dana-ż moja! oj dana»!
Choć pot czoło zaléwa
Dzwonią sierpy zagonem —
Garś za garścią ubywa!
Od uwrocia w uwrocie
Leżą kłosy pokotem,
Snop na snopie, jak nabił!
Pod słoneczkiem, pod złotem!

Będzież chleba! oj będzie!
To się dziedzic pokrzepi.
Z morga jakie sześć wozów...
Albo może i lepiéj.
    Byle zebrać z pogodą —
    Co Pan Jezus zarodził —
    Do «nowego» na młóckę
    Człek do dworu by chodził...
«Danaż moja! oj dana»!
Słonko skręca za lasem...
«Dożynajta! a żywo!
Bo już wieczór za pasem!
    Uwijajta dziewuchy,
    To wyżynek nie minie».
    Dzwonią sierpy zagonem,
    Po ściernisku pieśń płynie!
Płynie piosnka ściernistkiem
Co jak plaster lśni woszczyn —
«Danaż moja! oj dana»!
Leci echem do wiosczyn!

PIERWSZY SNOP.

«W imię Ojca, w imię Syna...»
Wita krzyżem stary chłop
Przywieziony do stodoły
Pierwszy z pola żytni snop.

Ukłąkł zbożnie na klepisku
I całuje chlebny kłos
Na słomianą okiść kładnie
Siwą głowę, siwy włos!
«Chleba—Panie! powszedniego»...
W modlitewny szepce ton —
«Chleba Panie! daj na życie!
«Wiązkę słomy daj na zgon»!
«Niech zarodzi Wola Twoja
«Czystem ziarnem bujny stóg!
«Witaj chlebie! w chłopskim progu
«Z Bogiem! z Bogiem! za nasz próg»!
I znów chyli się w ramiona,
Obejmując kłośny snop.
Ziemio rodna! kłosy twoje!...
Jak i twoim jest ten chłop!
Ziemio matko! daj im społem
Pod twem niebem szczęśnie rość!
Czarny chlebuś miej dla tego,
Co kość z kości twoja kość!
Czarny chlebuś miej dla tego,
Co od wieku strzeże soch,
Co się w twoim rodzi prochu
I zamieni się w twój proch!
W imię Ojca, w imię Syna!
Ródź-że matko ziemio, rodź!
Chleb powszedni — dla żywota,
Na skonanie — żytnią kłoć!

ZWOZKA.

Pochmurzało na niebie...
A tu kopa na kopie!
Dalej chłopcy! za konie!
I po snopy! w galopie!
Zakurzyło na drodze,
Jak pod owiec gromadą...
To parobcy do stodół
Ze snopami w cwał jadą!
Przodem Kuba—siwkami..
Wyładował półtorak
Na trzy warstwy pod pawęż,
Kiej dwór jaki! kiej czworak!
Pali z bata! wio siwe!
Że aż ziemia oddaje!
Na bok! z drogi! umykaj,
Bo kołami przekraje!
Zadudniło klepisko...
Wóz się wtoczył w rozpędzie...
Kuba strzepnął lejcami —
Pyta: «Siła tam będzie?»
— Dwa dwadzieścia». Trzy... cztery...
Szeź dwadzieścia. półkopy...
Ujął widły i śmiga!
Po dwa czasem wraz snopy!
Jak się dobrze przysadzi
To o belkę uderzy...

To też Kaśka z zapola
Cięgiem zęby doń szczerzy.
Coś się mają ku sobie —
Niby Kuba wraz z Kachną...
Ulęgałek mu dała
Smakowitych, aż pachną!
Przegryzł jedną i drugą...
I do Kaśki z podzięką...
Smyrgnął snopkiem przez głowę,
Bo nie dostać jej ręką!
Smyrgnął snopkiem raz, drugi,
Niby z wielkich zalotów...
Pięć, pięćdziesiąt i kopa!
W pół-pacierza wóz gotów!
«Bywaj Kasiu! Znaj chłopa!
Zawdy moje na wierzchu»!
Dalej! siwe z kopyta!
Wypoczniewa o zmierzchu!

MŁÓCKA.

Dudni echem w zagrodzie
Aż oddają obórki!
To w Stachowej Stodole
Biją młocki do czwórki.
Na dwie strony snop żytni
Rozciągnięty pokotem,

Furczą w górze bijaki,
Uderzając jak młotem!
    Łupu! cupu! Stach z Józwą...
    Cupu! łupu! Jaś, Grzela...
    Co uderzą — to ziarno
    Popod bunty wystrzela!
Zrazu zlekka po kłosie
A po knębiu z rozmachem,
Bije Janek i Grzela,
Bije Józwa ze Stachem.
    Raz i drugi «posadem»
    Przeszli zprawa i zlewa...
    Ścieli słomę na sieczkę!
    Nie ostała i plewa!
Będzie miało do syta!
Jeno wytrząść kłociaki...
Obracają cepami,
Podkładając dzierżaki.
    Wzięli w górę na kije,
    Trzęsą społem na siano!
    Najprzód długie źdźbła proste,
    Potem słomę targaną...
Czasem między badyle
Zawieruszy się ziarno...
Jeszcze cepem po wierzchu,
Tylko z góry a śwarno!
    Łupu! cupu! Stach z Józwą—
    Cupu! łupu! Jan z Grzelą...
    Podsypało niezgorzej!
    Aż się oczy weselą!

Będzie z czubem dwa korce
Jak «wywieje» do czysta!
Na bok cepy! Za grabie!
Wre robota siarczysta!
    Józwa szuflą podgarnia,
    Grzela zmiata z boiska
    Usypali dwie kupy,
    Kieby jakie mrowiska!
Stacho wrotni uchylił:
Czy wiatr dobry zaleci?
Ciągnie...—Sypta chłopaki!
Póki słońce wam świeci!
    Sypie Józwa z mańkuta,
    Sypie Grzela z prąwicy.
    Janek «zczynia» pomietkiem,
    Niczem baba w świetlicy.
Padą zboże półkolem
Jak grad z chmurnej ulewy —
Wietrzyk polny oddziela
Czyste ziarno od plewy!

W KWIETNIĄ NIEDZIELĘ.

Słonko wstało pogodą
Jakby w letnie przyparki...
Nad zdrojową nad wodą
Grają wierzby—łujarki!

Strojne w welon puszysty,
Postrzyżoną gnąc głową,
Grają wierzby—ligawki
Na niedzielę Palmową!
Słonko wstało pogodą,
Wietrzyk ucichł i nie tnie...
Nad zdrojową, nad wodą,
Grają wierzby, jak fletnie!
Postrzyżoną gną głową,
Roniąc pęki puszyste —
Na niedzielę Palmową!
Na cześć Twoją o Chryste!
Słonko wstało pogodą...
Grają dzwony od rana...
Jak te wierzby nad wodą
Lud ugina kolana!
Jak te wierzby puszyste
W dzień niedzieli Palmowéj
Pod kościelnem sklepieniem
Obnażone w rząd głowy!
Płoną oczy, jak słonko
Popod niebios błękitem!
Jak te wierzby—fujarki
Grają serca zachwytem!
Jak z tych drzewin nad wodą
Płyną dźwięki strzeliste...
O niedzieli Palmowej
Na cześć Twoją, o Chryste!

WIELKI PIĄTEK.

Ostatni dźwięk z jutrzenką padł—
Na ciernie świętej padł Korony!
W podniosłej ciszy zastygł świat!
Zaniemówiły spiżów tony...
W świątyni w kiry otulonéj
Zbawiciel spoczął ucierniony,
Z obliczem jako lilji kwiat.

I uderzyły serca — dzwon!
I zaśpiewało piersią—łkanie!
Temu—co Krzyżny poniósł zgon
Za żywot wieczny! zmartwychwstanie!
I nad kościelnych naw wiązanie
Wybiegło skruchą: Panie! Panie!
Z tysiąca ust, z tysiąca łon!

. . . .

A On wysłuchał! Dobry! Bóg!
Co między nami zaległ krzyżem!
I za niebieski wrócił próg! —
I drzwi uchylił przed pacierzem..
I każda prośba echem chyżem
Biegnie do Stwórcy tym ościeżem
Jako ku słońcu tęczy łuk!

W MAJU.

Zarodziło niebo majem!
Powiał ziemią czar!
Grają wierzby nad ruczajem —
Płynie kwieciem jar!
    Zapatrzone w blaski słonka
    Gwarzą gaje drzew —
    Dzwoni echem pieśń skowronka,
    Łka słowiczy śpiew!

Posypało niebo majem
Całą ziemię! świat!
Napoiło marzeń rajem!
Uwieńczyło w kwiat!
    Każdą grudkę ciepłem grzeje
    Promienista nić!
    Czemuż sercu, gdy zlodnieje—
    Trudno majem żyć?

ZIEMIA WIOSNĄ PACHNIE...

Stoję na wygonie,
Co się za wsią wije...
Górą—błękit jasny
Niebo blaskiem bije!

Pod stopami k'słońcu
Ziół szmaragdy rosną—
Ziemia wiosną pachnie!
Słonko płynie wiosną!
Patrzę po murawie,
Co się za wsią wije...
Wokół ostromlecze
Wstają białoszyje!
Macierzanka zielne
Pnie darniną krosno—
Ziemia wiosną pachnie!
Słonko płynie wiosną!
Stoję na wygonie,
Co się za wsią wije—
Porankowa rosa
Ruń ozimą myje—
Wietrzyk skowrończaną
Niesie pieśń radosną!
Ziemia wiosną pachnie!
Słonko płynie wiosną!
Patrzę po murawie
Co się za wsią wije...
Oko skrzy weselem
Serce raźniej bije!
Budzą się marzenia
Nim w zwątpieniu posną!...
Ziemia wiosną pachnie!
Słonko płynie wiosną!

KOŁO FIGURY.

Pada z ukosa
Słonko majowe,
Wieczorna rosa
Perli dąbrowę —

Zmilkł chorał ptaszy
Zasnęły kwiaty...
Dobytek z paszy
Wraca do chaty —

Skrzypi żałośnie
Żóraw studzienny...
Na starej sośnie
Bocian, półsenny,

Na jednej nodze,
Spogląda z góry
Po wiejskiej drodze
Hen! do «figury».

Koło «figury»
W opłotkach wioski—
Prostacze chóry
Do «Częstochowskiéj»!

U stóp *Maryi*
Lampka się pali —
Na świętej szyi
Bicze korali...

Dzieciątko Boże
Wianuszek w ręce
I kłośne zboże
Ma na sukience —

A dookoła
Szumiące drzewa...
Lud chyli czoła
I rzewnie śpiewa!

Tuż przy balaskach
Klęczą dziewczęta —
W krasnych zapaskach —
Strojne od święta!

Za dziewczętami,
Jak sierpem rzucił —
Klęka ze łzami
Kto z pola wrócił...

Kmiecie, gosposie,
Parobcy, dzieci...
I pieśń po rosie
W zaświaty leci.

Niesie w niebiosy
Wieczorna zorza —
Prostacze głosy —
Do «Gwiazdy morza»!

GDYBYM TAK MÓGŁ.

Gdybym tak mógł—jak nie mogę!
Zarusieńko szedłbym w drogę...
Między pola, między gaje,
W łączne błonia, nad ruczaje,
Na zielony smug.

Brzegiem wody po nad Wisłą,
Przez wiklinę szedłbym zwisłą —
Ponad Nidą, ponad Prosną,
Gdzie tymianku kępy rosną!
Nad Bystrzycę! nad Pilicę,
Kędy sosny, jako świéce...
Gdybym tylko mógł!

Gdybym tak mógł, jak nie mogę!
Zarusieńko szedłbym w drogę...
Ścieżynami, opłotkami,
W kurne chaty! pod strzechami!
Za prostaczy próg!

Wziąłbym z sobą chlebuś żytny,
Kołacz pszenny, mioduś sytny!
Wziąłbym pasik z kółeczkami—
Abecadło z obrazkami!
Wierzbnych wziąłbym pęk fujarek
Na gościniec! na podarek!
Gdybym tylko mógł!

Gdybym tak mógł—jak nie mogę!
Zarusieńko szedłbym w drogę...
W rodne strony, nierozstajne!
Zagonami, w sady gajne...
Jak za skibą pług!

Dziatwę pojąłbym pastuszą,
Co pod polną brzęczy gruszą,
I zaśpiewał razem z niemi
O tem niebie! o tej ziemi!
O tem wszystkiem, co kochane,
Śpiewał nocki nieprzespane!
Gdybym tylko mógł!

Niechtam... Lepiej, że nie mogę...
Bo jakby człek skończył drogę.
Jakby przyszło nazad wrócić,
Złote zorze! słonko rzucić!
Roztęczoną dal!

Toby serce potrza krwawić
Albo całe je ostawić!
Toby dusza zbiegła z łona
I przysiadła u wygona!
Toby oczy rozłzawione
W słup stanęły w oną stronę!
Żal-by było... żal.
Żal-by było—żal.

SMUTNO MI BOŻE!

Smutno mi, Boże, chociaż ból mnie niemi,
I ustom skargi nie pozwala wydać!
Chociaż spotykam oczyma suchemi
W ludzkie oblicza, na których łzy widać—
Choć z głosem smutnych mej nie łączę mowy...
Gdy możni słabych biorą na obroże,
Jakby me ręce spętano w okowy,
Smutno mi, Boże!

Smutno mi, Panie! Z wnętrza kurnej chaty
Słychać piosenkę rzewną, a serdeczną...
...Dziecina w zgrzebne opowita szmaty
Próżno matczyną pierś szarpie bezmleczną —
Matka w rozpaczy załamuje ręce,
Piosnka się w ciche rozpłynęła łkanie...
Jutro dzieciątku pościelą w trumience...
Smutno mi, Panie!

Smutno mi, Boże! Dwie ptaszyny głodne
Na porzucony kłos pszenicy padły —
One — co w boru żyły ciche, zgodne,
O ziarnko karmu bój toczą zajadły!
Zwarły się z sobą—dziobkiem w piersi godzą—
Bratniej miłości wyzbyły się w sporze...
I w rzeszy ptasząt Kainy się rodzą!
Smutno mi, Boże!

Smutno mi, Panie! Żal głębokiej wiary
W miłości siłę, ideałów świętość!
Dzieciny, z głodu idącej na mary!
I ptaszyn leśnych wstręt budzi zaciętość...
Tęskno, gdy dobre zła zwalczyć nie może,
Że jad się w złotym mieści roztruchanie—
Iż płonny zagon pług czasami orze...
Smutno mi, Panie!

Smutno mi, Boże! Choć twarz moja kłamie!
A ludzie mogą z mej boleści szydzić,
Piętno tęsknoty, wielkich smutków znamię,
Ty jeden w sercu mojem będziesz widzieć!
I gdy mnie zewsząd otoczą szyderce,
Ludzka pogarda zgnębi mię i zmoże,
Ty dasz świadectwo, że i moje serce
Wołało do Cię w łzach:
«Smutno mi, Boże»!

LALA! GĄSKI DO WODY!

Sieroteńką! sierota!
Wzięli ludzie z pod płota—
Przygarnęli u siebie—
Na łaskawym! na chlebie!

Dali kącik w komorze—
Wiązkę słomy na łoże—
Koszulinę znoszoną,
Spódniczynę czerwoną!
Łyżkę strawy! kęs chleba!
Służyć ludziom potrzeba
Za odziewek! wygodę...
Lala! gąski na wodę!

Gąski moje skrzydlate!
Trza wam w polę, za chatę!
Za tę chatę bieloną,
Za obórkę grodzoną,
W czyste pole, pod słonko,
Co jaśnieje nad łąką—
Po nad łąką kwiecistą,
Nad rzeczułką srebrzystą!
Trza wam razem z niebogą
W świat daleki! za drogą!
W las! na krasne jagody...
Lala gąski do wody!

Sieroteńka! sierota!
Chociaż płakać ochota,
Niema przed kim łez ronić —
Jeno gąski trza gonić!
Jak popłyną strumieniem,
Ja za niemi westchnieniem,
Jak polecą łąkami—
Ja za niemi ze łzami!

Jak pofruną na pola
Biednaż moja oj! dola!
Trza pilnować od szkody...
Lala! gąski do wody!

GDYBY MI DANO...

Gdyby mi dano orłem być,
Co wiewem skrzydeł słońce studzi,
Wolałbym jeszcze prochem żyć...
W pośrodku ludzi!
Gdyby mi dano niebo tkać,
W księżyce, z gwiazdy złocistemi,
Wolałbym jeszcze rolę siać
Po mojej ziemi!
Gdyby mi dano sławy tron,
W pośmiertnej chwale lśnić półbogiem!
Wolałbym jeszcze cichy skon
Za chaty progiem...
Gdyby mi dano w ducha sieć
Ułowić wszystką moc i siłę...
Wolałbym jeszcze—jedno mieć
Serduszko miłe!
Gdyby mi dano szczęście w dłoń,
Bym szedł z niem w dal od swych podwoi!
Wolałbym raczej chmurzyć skroń
Tam—gdzie są moi!

Za orle loty, sławy mgłę,
Za ugwiażdżone tło rozbrzasków,
Nie dałbym jednej grudki—nie!
Rodzinnych piasków!

STARY FURMAN.

Stary furman z furmanów Jan Żóraw.
Na łaskawym dziś chlebie we dworze,
Woził niegdyś dziedzica w *końkury,*
Teraz czwórce już zradzić nie może,
Więc o kucach ma tylko staranie
I paniczów do konia zaprawia...
W całym dworze: pan, pani, panicze
«Dziadku!»—mówią na Janka Żórawia!
Dziadek krzepko się trzyma i żwawo,
Chociaż siódmy przeminął mu krzyżyk,
Nosi wąsy kręcone z węgierska
I przy kurcie z galonem kołniérzyk.
W liberyjnym kaszkiecie na bakier,
Z krótką trzciną za cholew zatkniętą,
Od świtania po stajniach się kręci,
W dzień powszedni czyli też we święto.
Młodszych w wielkiej utrzymuje ryzie
I stangreta ma nawet na oku!
Z własnej woli pojenia dogląda,
Przy sypaniu jest także obroku!

Niech-no tylko zobaczy co złego,
Niech kto szkapę odsetni, zbatoży,
Od siarczystych! wnet naklnie dziadulo,
A i trzciną niebawem obłoży!
Nie pomoże traktament tabaką,
Nie pomogą wymówki, wykręty...
Gdy kto nieme pokrzywdził stworzenie,
Stary Żóraw jest strasznie zawzięty...
Bo też w koniach się kochał od młoda!
Siła czwórek przerzucił przez ręce!
I wierzchowych! Ot «Łyska» naprzykład..
Na niej kwiaty zawoził panience!
Co dzień drugi—z bukietem w galopie...
Takie były ówczesne *końkury!*
Boże-ć! Boże! dziś z «Łyski» ni śladu...
A panienka ma synów i córy!
Starszy panicz już kłusa poradzi,
Kiedy ze szkół przyjedzie na lato.
Już mu nawet i kuc nie pasuje!
Żóraw klaczkę objeżdża srokatą...
Tęga będzie z srokatej wierzchówka,
Mój ty Boże, jak to ten czas płynie!
Toć srokata po ślubnej «lejcowej»
I jak matka o krótkiej pęcinie!
Takusieńka, jak ona «lejcowa»!
Zad szeroki, a w krzyżu, jak ulał!
Czterech źrebców oddała rok po rok,
Żaden nawet na żart nie zakulał!
Stary Żóraw pamięta, jak dzisiaj
I «swaszlową» z olbrzymim *fajerem!*

Bez popasu—bywało—mil dziesięć!
Woził pana jeszcze kawalerem!
  Stary lubi wspominać te czasy
  I z lubością o wszystkiem rozprawia,
  Zwłaszcza kiedy panicze do stajni
  Zajdą w goście do «dziadka» Żórawia.
Wtedy furman z furmanów Jan Żóraw,
Czapka z głowy przed dziećmi dziedzica!
Stare kości wytęża jak może,
Stąpa z nogi prościutko, jak świeca!
  Gadu... gadu o «siwych», o «karych»
  O tem byłem, co go już nie zgoni!
  —Mówcie dziadku!—Dziadek kończąc
                                        [z żalem
  «Teraz niema ni ludzi, ni koni»!
I łzę rzewną rękawem ociera,
Nim na wąsy zdążyła mu dociec:
«Takiej czwórki—powtarza—nie znajdzie,
Jaką na ślub paniczów miał ociec...»

NA KACZKI.

Odtylcówka Lankastra
Flintpas—zdarte chodaczki.,.
Trudno z tem iść *ad astra!*
Ale trzeba na... kaczki!

Pada słońce zachodem
W oparzelisk smug siny —
W zwartych kępach sitowia
Gwarzą kacze rodziny.
Szuru... szuru... po rzęsie!
Stary kaczór na przodzie,
Lśniącą szyję przekrzywił,
Bacznie śledząc po wodzie.
Niedaleko za tatą
Płyną mamy i córki;
Są cyranki, krzyżówki
A i wodne są kurki.
Istny raut na bagnie!
Pogawędka aż miło!
Goście jedzą kaczeniec,
Piją wodę przegniłą.
Czasem rzesza figlarna
Dla popisu lub wprawy
Zanurkuje w namule
Wśród trzepotu i wrzawy...
Szuru! szuru... po rzęsie!
Idą szmery sitowiem...
Nad mokradli smug siny
Księżyc sierpnym zbiegł nowiem!
Stary kaczor na warcie,
Barwną wokół gnie szyją...
Czuwa... Dobry gospodarz!
Goście jedzą i piją...
Nagle... Stanął na wodzie
Trwożnie spojrzał w nadbrzegi.

Coś się święci—(pomyślał).
I dalejże w przeszpiegi!
Powiosłował ostrożnie...
Mruży okiem—wiatr chłonie...
Kwaknął hasłem na trwogę!
I sam w pędy na tonie!
Zahuczało! zawrzało!
Zaszumiało sitowiem!
Łopot skrzydeł uderzył
Aż na księżyc pod nowiem!
— *Aport* Karo! Do nogi!...
Pif! paf! dublet z Lankastra!
Wraca Karo... A kaczki?
Poszły sobie... *ad astra!*

ZADUSZKI.

Dnieje... świta... Na strzechy omglone
Rozświetl blasków promienistych spływa,
Szumią z cicha drzewa operlone —
Sygnaturka ranną jutrznię śpiewa!

Na muślinie jesiennych oparow,
Podzwonnego kołyszą się tony,
Płynąc z liścia spadłego szelestem
Ponad wilgnych mgieł sine opony.

Płyną górą za wiatru powiewem
Od kościelnych oderwane murów;
Wstęga dźwięków żałosnych rozsnuta
Łączy ziemię z podniebem lazurów!

Płyną tony podzwonne... A dołem
Kędy dróżka błotnista od wioski,
Za parkanu drzewnego okołem,
Cmentarniane pogwarem drżą brzozki.

Na mogilnej wyrosłe równinie,
Zwiędłym liściem rzucają i płaczą
Nad kołyską pośmiertną ciał ludzkich,
Co wędrówkę skończyły tułaczą...

Brzozy płaczą... Z rozwitych warkoczy,
Łza, różowa błyszczem świtu, spływa,
Brzozy płaczą... samotne z boleści!
Tylko górą—sygnaturka śpiewa...

Od kościołka, z wieżyczką strzelistą,
Osuszoną z mgieł rannych w rozświcie,
Błotną dróżką ku szlakom cmentarnym,
W zaduszkową gościnę mknie życie...

Przodem kapłan w żałobnym ornacie,
Dalej szare krok niosą siermięgi...
Rzewnych westchnień nić z serca ciągniona
W podzwonnego zaplata się wstęgi!

W drżących rękach gromniczne łuczywo,
Chwiejnem światłem przebłyska z oddali.
W szarą ziemię z oparem jesiennym
Szept pacierzy przesiąka i żali!

Płaczą brzozy... Tłum kolana zgina
I mogilnych glin dotyka czołem...
Z rąk kapłańskich krzyż! Godło zbawienia—
Nad cmentarnym wystrzelił okołem!

Płaczą żywi... Po zamarłych płaczą,
Cichym szeptem brzmią stroskane łona...
Przez jesiennych oparów muśliny
Słońce—krzyża ozłaca ramiona...

W ADWENCIE.

Spokojna nocka adwentowa,
Płaszczem mgieł szarych otulona—
Przed ranną zorzą gasi gwiazdy
I na zachodzie stropu kona...

Od wschodu płynie błyszcz świetlany
Spychając cienie w walce z zmierzchem,
Ciemnym tumanem niedobitków
Zwycięzka rozświetl płynie wierzchem.

Jarzące wschody porankowe
Tuż za ponocnym mkną woalem,
Wilgotne łono matki ziemi
Lśni rozperlonym rós opalem!

Zbudzone słońce ponad światem
Złocistą stopą wkracza wszędy...
Śpiewa do światła ptaszę polne,
Słychać omszałych olch gawędy.

Budzą się twory—człowiek wstaje,
Tu, owdzie, ogień błysł pod strzechą...
Różaną zorzą do stóp Stwórcy
Rannych pacierzy biegnie echo.

Za echem biegną myśli człecze
Za myślą k'niebu patrzą oczy...
Dźwięk sygnaturki rzewnym tonem
Po nad chatami brzmi w przezroczy.

Wołają dzwony w brzask świetlany
Na pokłon Bogu, na *roraty!*
Z jutrznianym świtem w Dom Święcony
Z korną modlitwą spieszą chaty.

Podstrzeszni żeńce twardej doli
Z ptaszyną polną nucą społem:
«*Kiedy poranne wstają zorze!...*»
Płynie chorałem po nad siołem.

I TEGO SZKODA.

(naśladowanie).

Szkoda siewu na jałowe
Zagony,
Co, miast ziarna, chwasty rodzą
Na plony—
Kęsa chleba, rzuconego
Na śmiecie—-
Kiedy tylu głodnych chodzi
Po świecie...
Szkoda sieci na bezrybne
Wód tonie;
Żal równianki, więdniejącej
W wazonie!
Szkoda drzewa, złamanego
Wichurą;
Blasku słońca, gdy zakryje
Się chmurą,
Szkoda śmiechu, gdy płaczliwi
Słuchacze,
I łez szkoda! gdy nikt społem
Nie płacze!
Szkoda grosza! straconego
Niebacznie!
I słów prawdy, gdy pojęte
Opacznie...
Żal modlitwy, gdy nie trafi
Do Boga.

Kroku naprzód, gdy fałszywą
Jest droga...
Szkoda krasy, jeśli serce
Jest czarne...
I wszystkiego, co już poszło
Na marne!

PIOSENKA.

I porwała się piosnka z zagona
I przypadła do piersi mych drżąca,
W koszulinę zgrzebną obleczona,
Usrebrzona blaskami miesiąca,
Z modrych kwiatów u czoła ozdobą—
I prosiła, bym zabrał ją z sobą.

Więc ją wziąłem na struny mej gęśli
Z modrych kwiatków koroną na czole,
Z popod słonka, co złotą nić przęśli,
W świat szeroki! na dolę! niedolę!
Brałem oną piosenkę wieśniaczą
Na wędrówkę przez życie tułaczą!

Wziąłem piosnkę, wyrosłą na łanie,
Jak siostrzycę przyjąłem ją mleczną,
By mi była na wielkie kochanie,
By mi była na troskę serdeczną,

By mi była na chleba kęs czarny
I na płomień, gdy trzeba, ofiarny!

Wiernie służy piosenka, nieboże!
Kocha, szlocha i żywi i grzeje!
To w nadziejne wyzłaca myśl zorze,
To niekiedy przez łzy się rozśmieje...
Jeno czasem tęsknimy: ja, ona —
Do polnego za miedzą zagona!

Jeno czasem wyrywa się dusza,
Kiedy skiba zapachnie orana,
Między chaty, co z lip pióropusza
Pobratymczem wołają: «Oj! dana!»
Jeno czasem serce jęknie: rety!
. . . .
Chodźmy, piosnko! czas śpiewać kuplety!

MIASTO.

NA MIEJSKĄ NUTĘ.

Za długo już śpiewałem
Jako za pługiem chłop —
Und die Kastraten klagten
Ich sänge viel zu grob!
Zamilknij fujareczko! —
Odmienny wezmę wtór —
Na harmonijce wygram —
Co miejski szepce mur...
Poranek... Dzień zamglony
Na oknach srebrny mróz,
Przed bramą drży góralczyk
Z drucianym pękiem łóz...
Głos malca załzawiony —
Podsieniem biegnie w dal!
...Biedaku odrutujże
W swych piersiach głód i żal!

Za kruchą cegieł ścianą
Młot głucho: *stuku! puk!*
Szewczyna wyłysiały
Przy pracy gnie się w łuk —
Raz po raz młotkiem klepie
Dratewną ciągnąc nić...
Widoczna — że bliźniemu
Nie umiał «butów szyć.»

❦

Słoneczko południowe
Dachami przeszło już...
Starego handełesa
W podwórzu gromi stróż!
Staremu — w oczach troska,
Znękaniem — mówi twarz!
...Handlarzu! kupuj serca!
Zarobek pewny masz!

❦

Zmierzch szary... gwiazdy wschodzą...
Latarni światło drga...
O zmierzchu nie rozróżnić
Co uśmiech! a co łza!
Na okół ludzkie cienie
Wprzek snują się i wzdłuż...
Straconej za dnia zguby,
Nie znajdą pono już!

❦

Zegary północ dzwonią...
Instrument chciałby grać!
Lecz serce... głupie serce!
Ot... chodźmy lepiej spać!
Spać chodźmy harmonijko
Nim jutrznią błyśnie strop —
Gdyż znowu rzec gotowi,
Że nucim: *viel zu grob!*

NA „NOWOGRODZKIEJ".

Na «Nowogrodzkiej,» przy parkanie
Stoi pasyjka z Bożą Męką —
Krzyż prosty, drzewny — co przed laty
W mazurskich piaskach rósł sosenką.
Oną sosenkę w znak Zbawienia
Wystrugał wiejski cieśla stary...
I znowu rośnie w murach miasta
Krzem gorejącym! godłem Wiary!

Drewniany krzyżyk — bez ozdoby,
Boskiego Zbawcę wziął w ramiona!
Odkupiciela postać święta
Z żelaznej blachy wykrojona...
Po nad pasyjką — kur piejący,
Na drzewcu — *nadpis* malowany...
I «Boże drzewko» u podnóża
I cztery rosną w rząd kasztany!

Na «Nowogrodzkiej» przy parkanie,
Gdy maj słoneczne dni otworzy,
Co wieczór płoną lampki jasne,
Strzelając k'niebu blaskiem zorzy.
Co wieczór gną się tu kolana,
Co wieczór szepcą wargi drżące...
A krzyż... otwiera swe ramiona,
Drewniane skrzydła swe skrzypiące.

I tuli do się tych, co smutni,
I koi żale tym, co łzawi,
I biednych krzepi i na życie
Całemu miastu błogosławi!
Na «Nowogrodzkiej,» przy parkanie
Stoi pasyjka z Bożą Męką...
Drewniany krzyżyk, godło Wiary,
Nabożną tu stawiony ręką.

Drewniany krzyżyk — bez ozdoby
W ramiona ujął choinowe
Z żelaznej blachy wykowaną
Odkupiciela świętą głowę!
Na «Nowogrodzkiej» co wieczora
Pieśń modlitewną wiatr kolebie...
Gną się kolana u stóp krzyża —
A w serca patrzy Ten... co w niebie.

W APTECE.

Nad wielkiem miastem — noc gwiaździsta
I księżyc płynie bladolicy;
Po murach krąży cisza mroczna...
Pogasły światła na ulicy...

Pod szarym zmierzchów baldachimem,
Wszystko w bezładnej śpi niemocy,
Tylko z apteki smutkiem błyska
Napis: «*Lekarska pomoc w nocy.*»

Lekarska pomoc! W wielkiem mieście,
Gdzie żywie doli ludzkich mrowie,
Nocami często z mgłą nadpływa,
Boleść krusząca i niezdrowie.

W aptece jasno... Zegar ścienny
Miarowo krople czasu cyka —
Dyżurny farmak z półki bierze,
Słoik z napisem: «*Heroica.*»

W aptece czeka osób parę:
Bezwąsy sługa galonowy,
Chichotka «młodsza,» gogo miejski,
Co przyszedł napić się «sodowej...»

W bezmyślnych twarzach nieznać trwogi,
Ni przygnębienia, ni nadziei.
Ziewają z cicha, apatycznie
I oczekują swej kolei.

Sługus wyciągnął nogi długie,
Pańskich «hawana» puszcza kłęby,
Gogo półsenne przymknął oczy,
«Młodsza» do lustra szczerzy zęby...

Czekają... Nagle drzwi apteki
Otwiera z trzaskiem ręka drżąca...
I krzyk rozlega się rozpaczny:
«Moja dziecina konająca!

Ratunku! panie! Boże Wielki!
Mój Staś jedyny! Skarb złocisty!
Ratunku panie! prędzej, prędzej!
Ratuuku Boże wiekuisty!...»

Farmak w receptę rzucił okiem,
«Angina,» mruknął od niechcenia
I dalej z flegmą «heroica»
Ważył po szczypcie do wiercenia.

Potem odliczać jął opłatki,
Potem pudełko wyjął lśniące...
A zegar cykał krople czasu
I serce biło bolejące...

. . . .

Nad wielkiem miastem — ranna zorza
I rozświetl płynie jaśniejąca...
Czy też obaczy brzaski dzienne,
Biedna dziecina konająca?

„POD CHRABĄSZCZEM."

Kawiarenkę pod «Chrabąszczem»
Trzyma zdawna godna wdowa,
Z dziewiczości — Guzikowska,
A po mężu — Pętelkowa.

Choć czterdziestkę liczy z czubem,
Jak to mówią: warta grzechu!
Przytem z domu familjantka,
A nieboszczyk siadał w cechu.

Pochowała go uczciwie,
Acz jej przepił do poduszki!
I dziś jeszcze pamięć męża
Opłakuje co... Zaduszki.

Ale wszystko ma swój koniec...
Grób murawy porósł gąszczem,
Wdowie serce znów zabiło
W kawiarence pod «Chrabąszczem».

W kawiarence pod «Chrabąszczem,»
Czy to latem, czy w czas mroźny,
Godzinami przesiaduje
Pan Hilary, były woźny.

Godzinami przesiaduje
Przy bufecie na krawędzi,
Pije «czarną,» «białą» pija,
W oczy patrzy i gawędzi.

Zawsze galant, wyświeżony,
Gors krochmalny, z szpilką szalik...
Opowiada godnej wdowie,
Że ma w banku kapitalik.

Wdowa słucha uśmiechnięta,
Słodkim słowom rada wielce,
Coraz rzadziej wspominając,
Świeć mu, Panie! o... Pętelce.

W kawiarence pod «Chrabąszczem»
Słychać krzyki i gniew groźny,
Za bufetem była wdowa,
Przed bufetem były woźny.

Potłuczone kubki, szklanki,
Z garnków strugi mleka płyną;
Była wdowa popłakuje,
Były woźny macha trzciną...

«Dawaj kasę, stara kwoko!
Bo inaczej popamiętasz!...»
Była wdowa łzawe oczy
Na bródzieński zwraca cmentarz.

Myślą na grób mknie Pętelki,
Co murawy porósł gąszczem!

. . . .

Lepiej było *primo voto*
W kawiarence pod «Chrabąszczem!»

W „ŁAZIENKACH."

Pomiędzy niebem a murawą,
Drzew rosochatych szlak zielony....
W pozłocie słońca wykąpane
Gwarzą, półdrzemiąc, stare klony:

Szemrzą akacji wonne kiście,
Strzyżonych grabów szpaler wzdychą...
Po całym parku w dal bezbrzeżną,
Wiośniana piosnka płynie cicha!

Majowe słonko wstawszy rano
Z pełnej rozlało urok czary!
Nad wodą w gąszczu słowik dzwoni
I gruchające słychać «pary!»

Rozkoszne szepty! upojenia!
Szelest gałązek i sukienek...
W majowy ranek miłość słodka
Lubi zaglądać do Łazienek!

Lubi się poić kwiatów wonią,
Ulatać sercem pod niebiosy,
W «zielone» grywać i pieśń nucić!
Radosną zwrotkę na dwa głosy!

Pomiędzy niebem a murawą
Drzew rosochatych sieć powiewa...
Ścieżyną krążą młode «pary»
Ponad sadzawką słowik śpiewa...

Złocą się klony, bielą brzozy,
Zawodzi lipa pszczelnym rojem...
Przy Okrąglaku «państwo starsi»
Krynicznym usta rzeźwią zdrojem.

Stary pan sędzia z radcą starym,
Na murowanej siadł krawędzi...
Słychać: westchnienia... «Panie... tego!»
Z wodą nadpływa gęg łabędzi!...

Śpiewają ptaki białoszyje,
Wzdychają starce białogłowe...
Sędzia dla «Kasi» i «Maciusia»
Cztery bułeczki wziął montowe...

. . . .

Pomiędzy niebem a murawą
Drzew rosochatych płyną cienie —
I śpiew łabędzi — dumy starcze —
Serdeczne tętna i wspomnienie!

PĄTNICY.

Od «Wiedeńskiego» chodnikami
Nieznane miastu ciągną tłumy,
Prostacza odzież z zgrzebnej nici,
Prostacze serca i rozumy...

Nieznani miastu pielgrzymowie,
Podróżne w ręku mają laski;

U mężkich ramion świtki szare,
U kobiet chustki i zapaski...

Na piersiach — szkaplerz poświęcany,
Różańca ziarnka z medalikiem;
Za pazuchami chlebuś czarny
I napoczęte flasze z mlékiem...

Ciągną — jak z wiosną klucz żurawi
Do gniazd rodzinnych — do swej wioski!
Z odkrytą głową, z pieśnią zbożną,
Od stóp Panienki Częstochowskiej!

Od stóp Najświętszej Rodzicielki,
Od Świętej Pani z Jasnej Góry!
Wraca z pokłonu tłum prostaczy,
Do swoich sadyb na mazury!

Wraca z pokłonu pod swe strzechy,
Zkąd nieraz korne słał pacierze —
Niesie obrazy... feretrony...
I pokrzepienie niesie w wierze!

Stary przewodnik siwowłosy
Nabożnej pieśni nuci zwrotki —
Prostacze usta powtarzają:
«O Matko Święta! Jezu Słodki...»

Od «Wiedeńskiego» chodnikami,
Nieznane miastu ciągną tłumy;
Prostacza odzież z zgrzebnej nici,
Prostacze serca i rozumy...

Odkryte głowy, stopy bose,
Serca nadzieją ufną drżące...
Biegną jak ptactwo na wyraju,
Do gniazd rodzinnych wracające.

Ciągną za starym przewodnikiem,
Jak w czas wiośniany klucz żurawi,
Pod wiejską strzechę z Jasnej Góry,
Co tej krainie błogosławi!

Od tronu Świętej Rodzicielki
Niosą bezcenny! skarb bez miary!
W prostaczej duszy zakowane
Żywota ziarno, ziarno Wiary!

„R A T Y“ I „R A T Y.“

Gdy dziedziczyłem na dwóch folwarkach
Nad brzegiem Warty,
Rok cały tłukłem się po jarmarkach
I grałem w karty.
Z żydkami miałem gwałt, tarapaty
Treści «zbożowej»
I zalegałem zazwyczaj «raty»
Do «Szczegółowej.»
Wreszcie komornik zjechał z subhastą,
Grzebiąc interes...

Więc przełożyłem nad wioskę miasto,
Rzuciwszy Ceres.
Dziś zamieszkuję wśród ludzi mrowia
I żyję z pióra...
Lecz w lasy ciągnie — według przysłowia —
Wilcza natura.
Z żydkami miewam znów tarapaty,
Z mebli składnikiem!
Pozwy, zajęcia, zaległe «raty»
Wraz z komornikiem!
W dodatku jeszcze «komorne» gniecie,
Rządca się boczy...
Taki snadź los mi wypadł na świecie —
Wiatr zawsze w oczy!
Zawsze i wszędzie fortuny mściwość
Ściga za katy!
Na wsi czy w mieście — gdzież sprawiedliwość?!
«Raty» i «raty»!

STRAŻAK.

Lat piętnaście służy w «straży»
Zwie się z ojca Szymon Gacek...
Chłop jak ulał! Takich wąsów
I Soplica nie miał Jacek!
Zawsze *galant* wystrzyżony
W kasku lśniącym jak kaganiec

Od piętnastu lat na przedzie
Idzie w ogień niby w taniec!
Lubi służbę *nieprzezpieczną!*
Zuch! przypadła mu do gustu...
Tysiąc przebył już «alarmów»
I w pożarach bywał dwustu!
Zrazu służył w «pompierach»,
Ale przeszedł w «toporniki»...
Dadzą sygnał, choćby w piekło!
Po drabince na dymniki!
Dadzą sygnał!... Krzyż na czoło
Chrześciański to rynsztunek!
Topór w rękę... I dalejże
Dla bliźniego na ratunek!
Lat piętnaście jest w «ogniowej»—
Nieraz ludzki żywot zbawił...
A co gratów nawynosił!
To Pociejów by zastawił!
Ma też blizny i oznaki
I pochwały na papierze,
Nieraz nawet sam redaktor
Wspomniał o nim w «*Kuryjerze*»*!*
Nieraz wołał pan naczelnik
Po przezwisku i imieniu
I przed frontem brał w objęcia
I poklepał po ramieniu!
To też kocha Szymon Gacek
Oną służbę *nieprzezpieczną*,
Jak bogdance najmilejszej,
Jej poprzysiągł służbę wieczną!

Kocha służbę—a choć czasem,
Piersi przygrzał, wąs osmalił,
Chociaż śmierci zajrzał w oczy,
Ale serca nie przepalił...
Kiedy w święto, kręcąc wąsa,
Maszeruje «Ordynackiem» —
Wszystkie panny «perskie oko»
Za Szymonem robią Gackiem.
Chłop jak ulał! wystrzyżony,
Galant, krzepki, jak odzimek...
To też sobie nie kupuje
Nigdy wiktu Gacek Szymek!
Nie kupuje i nie płaci
Ni obiadu, ni wieczerzy!
Bliźnim służy — toć od bliźnich
Także mu się coś należy.

NA „WIEDENSKIM“.

Pierwszy dzwonek—świst gwizdawki
Sygnałowych świateł kresa...
«Marszałkowską» na «Wiedeński»
Kroczy postać Firułkesa.
Białą—niby kądziel—brodę
Porankowy wiatr rozwiewa...
Stary Jojna idzie spiesznie
I *majufes* z cicha śpiewa.

Jojna stary, chałat stary,
Stare pudło w kształt kobiałki...
Stary Jojna lat trzydzieści!
Już roznosi w niem zapałki.
Bierze towar z pierwszej ręki
Fabryk obcych i krajowych,
Ma «wiatrówki», «szwedzkie» miewa...
Od «siarczanych» do «woskowych»!
Lat trzydzieści na «Wiedeńskim»
Podróżnemu jest wygodą...
Niegdyś młody—dziś zgarbiony
Jako wierzba ponad wodą!
Niegdyś rześki, bystry, żwawy,
Niedowidzi dziś na oczy,
Jednakowo—po dawnemu
Na «Wiedeński» co dnia kroczy.
Lat trzydzieści—prócz sabatów—
Nie opuścił posterunku.
Jak «Wiedeński» jest «Wiedeńskim»
Staje Jojna przy rynsztunku.
Oczekuje na podsieniu,
Potrząsając dnem kobiałki.
Czasem westchnie, czasem szepnie,
Zapraszając: «Do zapał...łki»!
Pociąg huczy... Państwo idą...
Bywa—trafi się gość hojny;
Lecz niekiedy do wieczora
Nie ma zbytu towar Jojny.
Ten, ów przejdzie nie spojrzawszy,
Każdy spieszy się do drogi

Jojna radby szedł na *peron*...
Nie puszczają! Rygor srogi!
Nie puszczają! Wraca stary...
Oczy pełne łez gorących...
Bodaj dawniej! Targ się zepsuł
Przy wagonach «niepalących»...
Targ się zepsuł, ludzie skąpi,
Nie ma kupca na zapałki...
Stary Jojna z «Wiedeńskiego»
Wraca smutny do swej Małki.
Idzie smutny, pochylony
Jako wierzba po nad wodą...
Gwiazdy—w oczach łez szukają,
Wiatr rozwiewa mleczną brodą.
Jojnie ciężko, sznur kobiałki
W spracowane wpił się kości...
Lat trzydzieści towar nosi
I dorobił się... starości!

„TRĄBIZUPKA".

Wyszedłem wczoraj na miasto,
W ręku pisarski «neseser»,
Aby—tak z *menu* wypadło—
Ułowić «bańkę» na deser.

Miała być lekka i strawna,
Gdyż według mego widzenia,
Nic bardziej zdrowiu nie szkodzi
Nad ciężki utwór natchnienia.

Krążyłem tedy po mieście,
Zwłaszcza, że dzionek był śliczny,
Wreszcie zaszedłem bezwiednie
W gwarny zaułek fabryczny.

Godzina była obiadu,
Gdyż właśnie ozwał się dzwonek...
Tłum wybiegł z murów ceglanych,
Jak pszczoły z kwietnich osłonek...

Wybiegł i patrzy po drodze...
Lecą z pogwarem westchnienia...
Ściele się dusza robocza
Po twardej drodze z kamienia!

Po twardej drodze z kamienia
Biegną wejrzenia łakome...
Wtem... kamień ozwał się sercem!
Turkocą «kuchnie ruchome»!

W roboczym tłumie zawrzało,
Łzy się splątały z uśmiechem...
. . . .
Stałem opodal wpatrzony,
Z zapartym stałem oddechem!

Stałem opodal wsłuchany,
Jak w najpiękniejszy poemat!
Były: kapusta, groch, kasza...
A jednak strawny był temat!

O KĘS CHLEBA, O CZARNY...

O kęs chleba, o czarny,
Nie proś ludzi, dziewczyno!
Żale twoje wyśmieją
I łzy rzewne pominą!
        Rozjaśń liczko uśmiechem,
        Cenną zjednasz jałmużnę:
        Przepych, stroje, klejnoty!
        Poda ramię usłużne.

„W OGRÓDKU".

Evviva l'arte!
                    Przez oklask do sławy!
Biust szminkowany i strój wyżej kolan!
Kurtyna w górę! Huczą widzów ławy!
A choć ten oklask łzą niekiedy polan —
Płacić to płacić! Cnoto! luzuj wartę!
                    Evviva l'arte!

Evviva l'arte! Dalej za kulisy!
Co, że tam napis: «Obcym wstęp wzbroniony!»
Przez wszystkie zamki, bramy i napisy
Przechodzi osioł, złotem objuczony —
To kwestya ceny: co i ile warte,
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! W epilogu — życie!
Wszak ono niczem więcej, tylko sceną!
W fałszywych blasków przepływa korycie,
Ma swoje role, miejsca z różną ceną —
No, i aktorów lichych pół, trzy czwarte!
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! Grać to grać bez przerwy,
Kramarzyć śmiechem lub łzą... Co kto woli!
A potem--pęknij serce! Ale pierwej
Stypa nad grobem zdruzgotanej doli!
Pijmy! pierś pali. Garson! podaj kartę!...
Evviva l'arte!

SAMOBÓJCA.

...W łeb sobie strzelił!... Jeszcze trzymał w dłoni
Narzędzie śmierci z zatrzaśniętym kurkiem,
Jeszcze krew ciepła tryskała mu z skroni
Znacząc bieliznę rubinowym sznurkiem!

Jeszcze huk strzału po komnacie dzwoni,
Już tłum ciekawych stanął przed podwórkiem —
Do zwłok stygnących pędem biegnie gawiedź,—
Pomna słów pańskich: «Upadłego nawiedź!»
Ratować duszę przyszli? czy też ciało?
Modlić się może?... Kto tam ludzi zgadnie!?
Noże w niejednych piersiach się ozwało
Żalu uczucie, śpiące w sercu na dnie...
Lecz wielu... wielu... (tak mi się wydało),
Iż się zabawić musiało paradnie,
Mając przed sobą zagadkę psychiczną,
Niezbyt codzienną, i nie prozaiczną.
Na etykietę nikt z widzów nie zważał:
Młodzian był biedny i mieszkał pod strychem...
Swobodnie każdy swe zdanie wyrażał,
Czasem z litością, a częściej ze śmiechem...
Jeden w umarłym bohatera stwarzał,
Drugi czyn taki zwał śmiertelnym grzechem...
Każdy podawał inny śmierci powód,
Z praktyki życia przytaczając dowód.
Dwa młode serca w pensjonarskim stroju,
Patrząc na piękne, sztywniejące lice,
Chciały z początku już omdleć w pokoju,..
(Musiały właśnie cierpieć na bladnicę)
I pomyślały, iż w miłosnym boju
Padł, ugodzony ciosem przez zwodnicę...
W takich się kochać... Ach! biedny szaleniec!
A resztę myśli dokończył... rumieniec!
Dama, z olbrzymią do modlitwy księgą,
Biła się w piersi z ogromnym patosem,

By przed czartowską ustrzedz się potęgą,
Wciąż egzorcyzmy szeptała półgłosem —
Znaczyła czoło różańcową wstęgą,
Czytając rozdział o «zbłąkanych losem»...
Wreszcie zaczęła nad umarłym biadać,
Że się na pewno musiał... nie spowiadać!
Jakiś erudyt krasomówczym zwrotem
Nazwał czyn taki skorpijonów męztwem,
A samobójcę—duchowym Helotem.
Twierdził—iż w życiu największem zwycięztwem
Pokonać siebie! nie zrażać się potem,
Daremnym znojem ani przeciwieństwem...
Tchórz tylko życie przecina w zaraniu.
...Miał dar wymowy po dobrem śniadaniu.
A w prosektorjum—w świątymi Hygei —
Pod nóż oddano samobójcy ciało.
Tu w inny sposób badano z kolei,
Co mu do śmierci przyczyną się stało?...
Anatom, pełen wiary i nadziei,
Na cząstki pociął mózg i czaszkę całą—
Ocenił wreszcie, że *naturae raptus*
Nastąpić musiał, gdyż był *mente captus!*
O Eskulapie! i tyś się pomylił:
Gdybyś miast mózgu ćwiertował żołądek,
Wnet tajemnicy rąbek byś uchylił
I umarłemu powrócił... rozsądek!
Choćbyś się przytem na stoicyzm silił,
Wzruszyłby strasznych cię losów porządek!
Zadrgało w piersiach serce nawet z lodu,
Że człowiek może śmierci pragnąć... z głodu!

Z głodu...? To straszne! I ty, tłumie chłodny!
Co zawsze pacierz mówisz przed śniadaniem,
A wśród Hijobów kroczysz tak pogodny,
Jakbyś żył w zgodzie z Bożem przykazaniem...
Gdybyś chciał wierzyć, że zmarł człowiek
[głodny —
Pracy nie dostał—wstydził się żebraniem...
Może—w pokorze ukląkłbyś coprędzéj,
Że pośród ciebie mógł ktoś zamrzeć z nędzy!
Gdybyś chciał wierzyć, że śmierci anioła
Ten nieraz wzywa przez śmierci krucicy,
Co nie nauczył się uchylać czoła,
Ani po wsparcie wyciągać prawicy,
Może—okruchy chociaż z swego stoła—
Niósłbyś w poddasza... do wilgnej piwnicy,
I nie śmiał później przed światem się szczycić,
Żeś — sam nie głodny — szedł... głodnych
[nasycić!

Rzuciłbyś może gruzy świętej ziemi
W mogiłę, która pokryła nieszczęście,
I nie mógł patrzeć oczyma suchemi
Na dobrowolne ze śmiercią zamężcie.
Nie «anathema» słowy złowieszczemi
Wołał—oburzon, zacisnąwszy pięście,
Ale, przejęty dziwnem śmierci zimnem,
Uderzył w niebo pokutniczym hymnem.

. . . .

Skalpelem wiedzy zeszpecone szczątki
Cnotliwych zmarłych nie skażą ogrójca.

Nawet po śmierci muszą być wyjątki.
W zwyczajnej ziemi spoczął samobójca,
(Mogiła żadnej nie nosi pamiątki).
Nikt się nie wstawiał do Wszechmocy Ojca,
By winy jego przebaczyć mu raczył...
. . . .
Bóg miłosierny! za ludzi przebaczył!

NA DACHU.

Już murarskie roboty skończone,
Trzechpiętrowy budynek pod dachem...
Stary blacharz na zrębie szczytowym
Na kęs chleba zarabia ze strachem.

Drży w nim serce, jak lśniący zwój blachy
Spracowaną prostowany dłonią,
Stare oczy na przepaść brukową
Spoglądając — obawy łzę ronią.

Na kolanach... powoli... ostrożnie...
Szlak rynnienny przytwierdza na zrębie.
Czasem pełza, jak kot przyczajony,
Po siedzące w dymniku gołębie.

Na wyżynie o stóp sto nad ziemią
Wiatr chłodniejszy powiewa niż dołem...
Stare ręce blacharza zgrabiały,
Choć włos siwy zapotniał nad czołem!

Stara ręka skostniała w sustawie,
Ślizgiej blachy nie dźwignie bez trudu...
Wieczór... Zmierzcha... Mrok... Nagle: krzyk
I głos trwożny ulicznego ludu! [tępy!

Na kamieniach u domu podmurza,
Krwawe starca rozpręża się ciało...
Pierś zraniona... golenie strzaskane...
Oko jakby ratunku błagało!

DZIECIĘCY ŚWIATEK.

Górą—błękit, a dołem—
Ogród w zielnej sukience...
Słońce falą promieni
Złoci główki dziecięce!
Roje ludzkich pierwiosnków
Pod błękitów namiotem,
Każdą ścieżkę radośnym
Wypełniają szczebiotem.
—Rzekłbyś: stadko skowrończe
Rozśpiewane w obłokach,
Nadpłynęło w murawę
Po słonecznych potokach!
Albo pszczelna rodzina,
Co wybiegła na kwiatek!
Tak się wdzięczy do wiosny
Lilipuci ten światek!

Wre zabawa aż miło!
W każdem kółku śmiech dzwoni!...
Chłopcy—z młoda zdradzają
—Wielki pociąg do koni...
Pędzi para blondynków:
Mały Stasio ze Zdzisiem...
Spoglądając w podskokach
Za Karolkiem forysiem!
Wiozą lalkę na *spacer*,
Co ma *mamę* Ludmiłkę...
Mała *mama* tymczasem
Z *ciocią* Zosią gra w piłkę!
Dalej inne pisklęta
Toczą kołem po dróżce...
Jedno bobo *skakankę*
Zaplątało na nóżce...
Woła *niani* na pomoc!
Niania kroczy nadęta...
(Z temi dziećmi nikt niema
Ni wytchnienia ni święta!)
W drugim końcu ogrodu
Leci balon na sznurku,
Za balonem w zachwycie
Mały *Andrée* w mundurku.
Towarzyszy nie nęcą
Snać podniebne zapasy...
Przystanęli bo kołem,
—Zaczynają grać w «klasy».
Płynie balon ku niebu—
Ziemią—krążek owalny...

I tu walczą dwa prądy:
Z idealnym... realny!
    Już w zabawkach dziecinnych
    Dwa ścierają się hasła...
    Jednych nęci grunt twardy—
    Drugich gwiazda zagasła!

W ZIMOWY RANEK.

I.

W zimowy ranek ubielony,
    Po polnej drodze ściętej mrozem,
Od stert na wzgórku ku stodołom
    Wóz drabiniasty mknie za wozem.
Sprzątnięto latem chlebne snopy,
    Długo zdobiły rodne niwy,
Aż je rozkazał w czas przednowku
    Zwozić gospodarz zabiegliwy.
Turkoczą wozy, dudni ziemia!
    Od gumien słychać echo maszyn...
Przy polnej drodze mrozem ściętej
    W przelocie ćwierka rzesza ptaszyn!
Szare wróbelki i śmieciuszki,
    Gromadka sikor z szyjką czarną,
Na uroniony kłos czyhają,
    Na wykruszone z kłosa ziarno.

Ćwierkają ptaki szaropióre,
Witając pieśnią wóz za wozem,
Trzepoczą w skrzydła, dziobki ostrzą
Na grudkach ziemi, ściętych mrozem!

II.

W zimowy ranek mglistym świtem,
Co lśni od wschodu jak ogarek,
Po miejskim bruku dudni głucho
Ładownych w ciężar rząd węglarek.
Z dworca kolei, przedmieściami,
Toczą się ciężko czarne skrzynie,
Naokół cisza—tylko turkot
Oślizgłym brukiem w miasto płynie.
Miasto śpi jeszcze w takiej porze—
A jednak słychać ludzkie głosy...
Za węglarkami tłum półnagi,
W podartych szmatach, prawie bosy...
Idzie za wozem pochylony,
Niosąc koszyki w drżącej dłoni,
Czasami bruku ręką chwyta,
I znów węglarek turkot goni.
Czasem głośniejszy szept przeleci—
Dziękczynnem echem, drogą czarną...
To bieda zbiera grudki węgla
Jak ono ptactwo polne—ziarno!

NA BIELANACH.

Przemówiły Bielany
Na odpustne na święto!
Kamedulski dom Boży
Przerwał zwykłe *memento!*
Przemówiły Bielany!
Każde drzewo zawodzi,
Kamedulski dom Boży
Tonie w zielnej powodzi!
Biją dzwony a biją,
Dzwonią echa a dzwonią...
Śpiewa kościół staruszek
Nad Wiślaną nad tonią!
A od Wisły szmer idzie...
Tysiąc głosów w pogwarze!
Płynie statek za statkiem
Pod bielańskie ołtarze!
Płynie statek za statkiem,
Prując falę spokojną —
A na każdym głów ciżba!
A na każdym aż rojno!
Przemówiły Bielany!
Usłyszała Warszawa!
W cichy, leśny zakątek
Spieszy życie i wrzawa...
Ścieżynami pod górę
Tłum się szary przelewa —

To przystaje w pół drogi,
To przysiądzie pod drzewa...
I znów pnie się--jak bluszcze
Po nadbrzeżnym, po jarze—
Spoglądając z rzewnością
Na bielańskie ołtarze!
Już kościołek na dłoni.
Idą «ojce» od celi
Z dłngą brodą do pasa,
Jak zwój lnianej kądzieli!
Z różańcami u boku,
Szepcząc z cichą «memento»!
A tłum gnie się do kolan!
Kładzie usta w dłoń świętą!
Kamedulskim krzyżykiem
Znaczy czoła zroszone
Na pokutną, na skruchę!
Na doczesną obronę!

. . . .

Przemówiły Bielany,
Po modlitwie—zabawy...
Pod drzewami tłum miejski
Zaległ w cieniu--murawy!
Jaki taki dla chłodu
Trzyma w rękach gałązkę...
Wszystkim ślinka aż idzie!
Na napitek! przekąskę!
Jest bo tego dostatek!
Do uznania i smaku!

W całym borze kramarzy,
Jak w makówce ziarn maku!
Z wędlinami, słodyczą...
I sodowa! i lody!
Jest w czem wybrać dowoli,
Według gustu i mody!
Zabiegliwsze gosposie
Wzięły *wiktu* ze sobą...
(Nie ubliży tobołek,
Chcć kto godną osobą!)
Ot pod sosną starzyną
Całe pudło otwarte...
Otworzyła... szewcowa!
(Ma trzewiki podarte,
To i zgadniesz na oko,
Że majstrowa nielada).
Obok przysiadł pan majster,
Dalej dzieci gromada.
Jest i czeladź... a jakże!
(Jak świętować—świętować!)
Jeno poszła na chwilkę
«Siłomierza sprobować»!
Bo i zabaw nie braknie!
«Karuzele» i «młyny»!
«Zgadujące» są «ptaki»!
I cyrkowe drużyny!
«Katarynki», «strzelnice»,
I «huśtawek» moc taka!
Że migają w powietrzu,
Niby skrzydła wiatraka!

To też radość, uciecha!
Do zachodu brzmią słonka!
Póki z wieży bielańskiej
Nie rozlegnie głos dzwonka!
I z ostatnim promieniem
Rzuci w ziemię przyśniętą
W kamedulskiej świątyni
Wyrzeźbione: *memento!*

W „ALEJACH...“

Po «Alejach» latem chadza
Pani Ewa—godna wdowa,
Primo voto—Kanarkowska,
A secundo—Siekańcowa.

Pochowała mężów obu
Sumptem własnym... Świeć im Panie!
Dziś samotna jako palec
We wdowieńskim żyje stanie.

(Trafiał jėj się wprawdzie «trzeci»
Były stojka, Jacek Płyta—
Ale ludzie odradzili...
Bo co przyjdzie z emeryta?)

Zrazu ciężko i markotno
Było samej pani Ewie,
(Dobrze z chłopa mieć wyrękę,
Czy w weselu, czy to w gniewie),

Lecz się czasem wzwyczaiła
(Jako majtek żyć na lądzie)...
No! i daje sobie radę
We wdowieńskim samorządzie.

W chuście z «wełny», w czepiec biały
Okoliwszy twarz rumianą,
Paraduje Siekańcowa
«Na Aleje» w każde rano.

Tam rozkłada towar wonny,
Plotąc w liście i równianki,
Czy to róże, czy «chryzanty»,
Czy fijołki, czy sasanki.

Dzień pogodny—więc spacerem
«Kawaliry» za pannami...
Siekańcowa *otchu* nie da!
Tak częstuje w głos kwiatami!

«Ró...ró...róże! Fio...fijołki»!
Woła drepcąc tuż na pięty...
Jaki taki na odczepne
I papierek rzuci zmięty!

Czasem idą same damy
Aż szeleści! takie strojne!
Te na kwiaty *lecą* zaraz...
Mają z czego, to i hojne!

Już zdaleka biegnie ku nim,
Zachwalając, Siekańcowa...
(No! bo w targu grunt zarobek—
Rozumuje biedna wdowa).

I tak mija dzień za dzionkiem.
Lecz, gdy przejdzie czas latowy,
Nie *uświadczy* na lekarstwo
Już w «Alejach» Siekańcowej.

Odpoczywa do jesieni
I dopiero w «babskie lato»
Ku Zaduszkom na Powązkach
Pod cmentarną siada kratą.

I tu kwiaty ma i zieleń,
Lecz nie żywym do ozdoby...
Miewa palmy... nieśmiertelnik...
Różne *światło* ma na «groby»...

Znów handluje godna wdowa
Przesuwając nić różańca —
Za obydwóch nieboszczyków:
Za Kanarka i Siekańca!

Z DOŁU I Z GÓRY.

(Naśladowanie).

Mieszkałem wówczas róg «Krakowskiego»
Na *pierwszem* piętrze—
Lokal frontowy, balkon do tego...
Słowo najświętsze!
Miałem przedpokój, salon, sypialnię,
Wszelkie wygody —
Dwadzieścia rubli płacąc *kwartalnie*
Z dodatkiem «wody».
A choć me «Lary» stróż zabrać w płachtę
Mógł bez mozołu...
Wierzono wtedy w rodową szlachtę!
Płaciłem... z *dołu!*

Dzisiaj się gnieżdżę w sąsiedztwie wróbli
Na *czwartem* piętrze —
Płacę *miesięcznie* dwadzieścia rubli!
Słowo najświętsze!
Pokoik—klitka... okno w podchmurza...
Ściany z tektury...
A co mię głównie boli, oburza!
Że płacę z *góry!*
Zaledwie «ósmy» miesiąca dzionek
Zabłyśnie świtem —
Już na «dzień dobry» łomoce dzwonek!
Mam stróża... z kwitem!

A niech się czasem oprę najmicie
W imię godności —
Wtedy wizyta już po wizycie
Przyjemnych gości...
Mam gospodarza... rządcę... woźnego...
Słowo najświętsze!
Lepiej bywało! róg «Krakowskiego»
Na *pierwszem* piętrze!
Lat temu parę—Boże kochany!
Niewielki przedział!
A takie w ludziach i *domach* zmiany...
Któżby powiedział!

NA KWEŚCIE.

Modną włożywszy sukienkę
«Bleu-malade» w rzucik—
Różaniec z pereł na rękę —
Na nóżkę wytworny bucik —
Nabożnej oddana «sieście»
Siedziała z ciocią na kweście.

Chociaż czytała w ekstazie
«Ołtarzyk złoty»
Umiała zliczyć na razie
Obfitość rzuconej kwoty,
Wdzięcząc się więcej—mniej mile,
Względnie—kto dawał! i ile!

Młodym—by chęć ich utrwalić
Na drodze cnoty —
Słała mogące rozpalić
Wejrzenie tkliwej pieszczoty;
Żonaci lub też sędziwi
Mniej za to byli szczęśliwi...

Godnym odpustu jest grzechem
Jałmużny pieniądz,
Wymownym darzyć uśmiechem,
Powabne liczko rumieniąc —
Gdyż... wedle trafnych słów ciotki,
Cel wzniosły uświęca środki!

I grosz się sypał bez przerwy...
Młodzi i starce
Jak przed posągiem Minerwy
Składali dary kwestarce...
Co chwila hojny dar brzęknie!...
Bo *Litość* zna się na... *Pięknie!...*

CHOINKA.

Na kanapie, pokrytej włosieniem
(Materjał to trwalszy od pluszów),
Siedzi chmurny rozbitek ziemiański,
Co się z «własnych» melduje «funduszów»...

Zadumany, z tęsknotą na czole,
Patrzy oknem na placyk targowy,
Gdzie na bruku, jak w wiejskiej zaciszy —
Wyrósł bujny lasek choinowy...

Ruch świąteczny... przechodzących tłumy...
Targowisko rozbrzmiewa pogwarem...
Kupujących sylwetki ruchliwe
Na tle murów rysują się szarem...

Patrzy, duma z goryczą na twarzy,
Zasłuchany w uliczne poszmery...
Czasem westchnie i oko zamglone
W uśmiech pragnie oprawić nieszczery.

Lecz wesele udane nie słodzi,
Kojącego nie daje wytchnienia!
Z choinowych gałązek zieleni
Dawnych czasów powiały wspomnienia...

Dawne czasy!... Wioska w kniejnej głuszy,
Stary dworek w lipowym robronie...
Chat szeregi... pola z bujnym kłosem...
Rozśpiewana dąbrowa! i błonie!

Dawne czasy! Lasek choinowy
W murach miasta przemówił wspomnieniem,
Z smutnych źrenic upadła łza skruchy
Na kanapę, pokrytą włosieniem!

Stary mebel pamięta te czasy,
Pradziadowi sługiwał za łoże...

. . . .

Dziś wnuczęciu pamiątką jedyną
Tej przeszłości, co wrócić nie może!

NA TRZECH KRÓLI.

U państwa Protów, emerytów
(Staruszek chodzi już o kulach),
Proszone były wczoraj pączki
Jako rokrocznie po Trzech Królach.
    Przez uchylone drzwi z napisem:
    «*Kacper, i Melchior, i Baltazar*»,
    Widać stół, suto zastawiony,
    I pączków wieżę, jak Alkazar!
Są z powidłami, lukrowane,
Są z malinami, są i puste,
A wszystkie lekkie, wydarzone,
Pod miarę słodkie, w miarę tłuste.
    Pani Protowa własną ręką
    Na świeżym je smażyła smalcu,
    Probując słomką wysuszania,
    Co chroni ciasto od zakalcu.
Dokoła stołu zaproszeni,
Prawie, że sama to rodzina...

Na honorowem miejscu zasiadł
Pan Prot, emeryt—starowina.
Po boku dziadka z siwym włosem,
Co się, jak kądziel lniana, bieli,
Synowie, córki, z gronem wnucząt,
Równie po mieczu, jak kądzieli.
Dziatwa w cichości łyka ślinkę,
Patrząc w skupieniu na traktament,
Z bezchmurnych czołek świecą ślepki,
Jak w ugwiaździoną noc firmament.
Same błękitne, lazurowe,
Jako u dziadka i babuni —
Błyskają skrami z pod czuprynek,
Z pod płowych włosków złotej runi.
Dziadulo pierwszy przykład daje...
Co największego wziął z półmiska...
Popił węgrzyna... na babunię
Ukradkiem wzrok badawczy ciska.
Sięgnął po drugi—upatrzywszy,
Że babcia właśnie jest zajęta...
Udało mu się, nikt nie widział,
Ani synowie, ni wnuczęta.
Dziadulo kontent, całe grono
Zajęte jest pączkami szczerze...
Dziadulo kontent, już trzeciego
Ukradkiem na swój talerz bierze...
Wtem babcia z boku za krzesłami
Niepostrzeżenie doń podchodzi...
Nim zdążył ukryć... Łap za pączek:
«Nie dam, bo jeszcze ci zaszkodzi...»

«Co ma zaszkodzić? Wielkie rzeczy!
«Brykałe-m jadał, a nie... tego...»
I tak fukają staruszkowie,
Srożąc się jedno na drugiego.
Tymczasem «gwiazdkę» zapalono,
Nie czas na spory, każdy spieszy:
Dziaduś o kuli razem z babcią
Wśród śpiewającej klęczą rzeszy...
Klęczą pod drzewkiem choinowem,
Co Bozki żłobek opromienia,
Jako z pokłonem Trzej Królowie—
Trzy klęczą społem pokolenia.
I modlitewna pieśń nad pieśnie
Płynie do Pana wśród błękitów,
Płynie z dziecięcych ustek wnucząt
I z starych piersi emerytów!...

BŁYSŁA ŁEZKA.

Błysła łezka w modrem oku,
Po twarzyczce bieży —
Dziewczę, na bal zaproszone...
Sukienka źle leży!
Choć łzy były nieudane,
Płacz szczery słyszałem,
Dziewczę stało zapłakane,
A ja się rozśmiałem.

Wkrótce potem, kiedy gorzał
Zaułek fabryczny,
Dziewczę rzekło mi z uśmiechem:
—«Cóż za widok śliczny!»
W mojej piersi żal się zrodził
O biedaków dolę,
Z ust dziewczęcia śmiech nie schodz
Zmieniły się... role!
Szkoda łezki, dziewczę lube
Nad złym sukni krojem,
Ale nie żal jej uronić
Nad biedaków znojem!
Łza zdobniejsza, niż brylanty,
Gdy w źrenicy świeci —
Lecz jeśli ją dobroć serca,
A nie kaprys nieci!

ŻARCIK.

Miała mama
Córek trzy,
Ciągle płaczą,
Leją łzy!
Bo choć w domu niezły wikt
Nie trafił się dotąd nikt!
Mamie córek bardzo żal...
Umyśliła wydać bal!

Nie słuchając dalszych skarg,
Bierze koszyk i na targ!
Pewna, że się zjawi zięć,
Ucieleśnia szybko chęć!

Pożyczyła
Rubli sto!
Zakupiła
To i «sio»...
Wynajęty kucharz wnet
Naprzyrządzał różnych wet!
Było «papu», «trutru» w bród!
«Piramida z cyfrą» cud!
Gości jako w boru drzew!
Raźne tańce, nawet śpiew!
Lecz gdy z stołu zniknął wikt,
Nie pozostał zgoła nikt!

Siedzi, łkając,
Córek trzy,
Mama rzewne
Leje łzy...
Pożyczyła rubli sto,
Teraz sądem straszą ją!
A poza tem mnóstwo strat!
Kucharz nowy rondel skradł!
Gość w mazurze w lustro: brzęk!
Jednej z córek stanik pękł!
Młodsza szklanek zbiła pięć!
Wszystko na nic! Przepadł zięć!

Biedna matko,
Zrób-że tak...
Do «prospektów»
Wabia brak!...
Zamiast w domu ronić łzy,
Daj na «premja» córek trzy!
A wnet anons będzie brzmiał:
Że kto «roczną» z góry dał,
Prócz bezpłatnych książek, nut,
Weźmie dziewczę istny cud!
A gdy zechce «porto» słać,
I teściową może brać!

„W INSERATACH".

Pan mecenas pędzi życie
Regularnie, jak w zegarku:
Zrana w sądzie, potem obiad,
Pogawędka przy cygarku;

Potem drzemka poobiednia.
Kawka, spacer *et caetera*...
Przy wieczornej zaś herbatce
Stale siada do *Kurjera*.

Pan mecenas czytać lubi,
Czyta nawet inseraty;

Czasem trafi się interes,
Jaka suma do lokaty...

Pan mecenas czytać lubi...
Właśnie zasiadł do lektury,
Czyta «wstępny», «telegramy»,
«Sport», «giełdowe konjunktury».

Na ostatią wreszcie stronę
Rzuca okiem od niechcenia,
Przeglądając, jak zwyczajnie,
Drobnym drukiem «ogłoszenia».

Życie nawet w inseratach
Miewa kontrast niepowszedni...
«Kupię doga rasowego»,
«Jest mundurek na wzrost średni».

Jest mundurek na wzrost średni
Tanio!»—żebrze jakaś matka...
Pan mecenas rzucił dziennik,
Nie czytając do ostatka...

Pan mecenas rzucił dziennik...
Skroń oburącz wsparł na biurku...
I zamyślił się o «dogu»
I zadumał o «mundurku»...

Coś mu w piersiach się ozwało,
Jakiś oddźwięk rozbrzmiał łzawy...
Nadleciały roje wspomnień,
Roje wspomnień z szkolnej ławy!

Niegdyś... niegdyś przed latami...
Wszak z ofiarnej czerpał misy...

. . . .

Sięgnął ręką do kasetki:
—Trzeba będzie dać na «wpisy»...

«Trzeba będzie dać na «wpisy»...
«Co za kontrast niepowszedni!
«Kupię doga rasowego...
«Jest mundurek na wzrost średni».

„ŻYŁKA DO KONI“.

Czem się młodość radowała,
I przy siwej miłe skroni...
Pan Hipolit od dzieciństwa
Djablą żyłkę miał do koni!
Jeszcze malcem z szkolnej ławy,
Zamiast ślęczeć przy nauce,
Z «drugiej» drapnął już z Warszawy
I objeżdżał w domu kuce.
Potem parą «kawalerskich»
Konkurował po powiecie,
Wreszcie ślubną czwórkę karych
Przy danglowskiej miał karecie.
Później znały go: Skaryszew,
Ciechanowiec, Łowicz z Łęczną,
Raz dwa lata jeździł z rzędu,
Zanim dobrał klacz «na ręczną».

Ale za to miewał czwórki
Chodne, równe pod tasiemkę,
Wyjeżdżone. Wziąć za cugle,
Na talerzu kreśl «ósemkę»!
Bywał także pan Hipolit
Mokotowskich gościem błoni,
Grywał grubo na «pewniaka»,
No! bo żyłkę miał do koni!
Później przyszły ciężkie lata:
Nieurodzaj, cła zbożowe...
Pan Hipolit sprzedał owce,
Ale konie miał cugowe.
Wprawdzie nieraz trzeba było
Przed «zajęciem» drapnąć z czwórką.
Lecz przezorny pan Hipolit
Miał dwa wjazdy na podwórko.
Gość przez jeden, szkapki drugim
I pozbywał się kłopotu,
Wreszcie czwórka wyjechała
Razem z panem bez powrotu!
Dziś w Warszawie pan Hipolit
Przy tramwajach «na bok» dzwoni...
Nie dziwota! z dawnych czasów
Zawsze żyłkę miał do koni!

NA „KOSZYKACH“ PRZY KOŚCIELE.

Na Koszykach, przy kościele
Jest cmentarzyk starodawny —
Szmaragdową darnią szyty
I w ceglany mur oprawny...

Naokoło po podmurzu
Nagrobkowe świecą płyty:
Krzyż, klepsydra i dzień zgonu
Ku pamięci żywych ryty.

Dziś cmentarzyk przy kościele
Poszedł jakoś w zapominek—
Od pół wieku żadna trumna
Nie przybyła na spoczynek.

Od pół wieku mur kościelny
Bezrobociem zaugorzył...
Zamiast zmarłych, wita żywe!
Żywym bramy swe otworzył.

Letnią porą w rannej dobie,
Ledwie słonko skrami błyśnie,
Na zieloność mogilaną
Rój się dziatwy z gwarem ciśnie.

Niby kwiaty ponad miedzą,
Niby habry lub makówki
Za cmentarnem ogrodzeniem
Wyrastają drobne główki.

Wychudzone to i blade,
Jak suteryn sine ściany...
Tu powietrza przyszło szukać!
Na mogiły! na kurhany!

Nad mogilną darnią, słońca
Przyszło szukać młode życie!
Za cmentarnem ogrodzeniem!
Przy nagrobnej, zimnej płycie!

Cichy ogród przy kościele
Dzwoni gwarem i szczebiotem.
Dziatwa igra na murawie,
Pod zielonych drzew namiotem...

Wciąga wonie w pierś zapadłą,
Wychudzone stawia nóżki
Na grobowe ornamenta
Patrzy—wspięta na paluszki...

Czyta: D. O. M. i dalej...
Czyta z twarzą uśmiechniętą—
Ślabizując po literze
Nadgrobowe to *memento!*

«Takie ładne! tak się świecą!
Malowane w słońcu zgłoski!»—
Że aż dziwno lnianym główkom
W kędzierzawe zdobnym włoski!

. . . .

Na cmentarzu przy kościele
Wynędzony typ lechicki...
Patrząc, myślisz: W żywem ciele
Śliczny wierszyk Konopnickiej:

O tym «małym», co o słonku
Za piwniczną ścianą marzy...
. . . .
Baw się! dziatwo wyrobnicza
Na mogiłach — śród cmentarzy.

PO „LONTAGU“.

Po «lontagu» wieczorem
Idą chłopcy z ślusarni.
Grosz w kieszeni. Stanęli
Przed oknami masarni.

Za oknami, za szybą,
Co jak tafla lśni lodu,
Smakołyki! Dość spojrzeć!
Słodko niczem od miodu!

Samych szynek—-nie zliczyć
(Od tłustości aż kapie)
Rozsiadły się na półkach,
Jak majstrowa w kanapie.

Jest głowizna pod chrzanem!
Zęby szczerzy, jak żywa!
Są kiełbasy na haku!
Moc innego mięsiwa...

Na bufecie, na stole
W marmurowe desenie,
Salcesony trzy leżą,
Niby młyńskie kamienie.

Jest zwyczajny, jest krwisty,
Jest i «włoskim» nazwany
Przez to, że jak makaron
W cienkie paski krajany.

Na stolnicy stos kiszek:
«Podgardlane» i z ryżem —
Polędwica w pęcherzu,
Schab duszony z anyżem!

Są i szynki «westfalskie»,
Niby panny w sznurówkach,
Są ozory wędzone,
Przy soczystych parówkach!

Ze ścian wiszą serdelki.
Co tu tego! co tego!
Rzędem—jak tych uczniaków
Na spacerze «gęsiego»!

Galarety półmisek,
I faryna i smalce!
I słonina grubaśna —
Lekko liczyć — w trzy palce!

Jest w czem wybrać do smaku!
Omal dusza nie skoczy!
Czeladnikom z ślusarni
Dziwnie śmieją się oczy!

Przystanęli i radzą,
Spoglądając na półki...
Weszli—kupić «okrawków»
Za trojaka do spółki.

KELNER.

W dzień powszedni, czy we święto
Chodzi w fraku pod numerem!
Z ojca zwie się Ignac Łykus —
W restauracyi jest kelnerem...
Wygolony, wyczesany,
Z rozdzieloną z tyłu głową,
Nosi białą kamizelkę
I biieliznę papierową.
Zawsze mile uśmiechnięty,
Rzadko patrzy okiem mrocznem —
Ma stoliki trzy na «sali»
I gabinet z wejściem bocznem.
Z maleńkości jest kelnerem,
Bo też zręczny chłop z Ignaca,
Lecz wie komu, jak usłużyć...
Jaka *płaca* taka praca!
Gdy podaje *głupie* piwo —
Co «dychaczem» ledwo pachnie,
Stawia szklankę od niechcenia,
A czasami nawet żachnie!

Ale niechno się gość trafi
Na porterze i z kawiorem —
Ignac Łykus go obsłuży
Z wielkim taktem i honorem!
Bo choć tylko jest kelnerem,
Lecz psycholog zeń nie lada!
Z «obstalunku» pozna gościa
I stosownie się układa!
«Czysta wódka—zrazy bite» —
U Łykusa nos zadarty...
Nie lubuje mu też równie,
Gdy gość gwałtem żąda «karty»
Po co «karta»!? Wie z pamięci
Co dobrego dać na ząbek:
Majonezy, homar, raki,
Kuropatwa lub jarząbek!
Najmilejsi dla Ignaca,
Popółnocni goście—w świecie!
Zwłaszcza jeśli w *kompanii*
Zechcą zasiąść w gabinecie!
Wtedy jakby z gumlastyki,
Tak się szasta Ignac Łykus —
Nie dziwota! bo przy damach
Szarmant wielki i nie dzikus!
Sam też nieraz, gdy rachunki
Ponad ranem zdąży sprawić —
Kropi dryndą do «Japonii»;
Żeby w *gościa* się zabawić.

SZWACZKA.

Noc płynie... Gwiazdy. Pod gwiazdami
Drzemią kamienic szare mury...
Życie—na senny wypoczynek
Dostało urlop od natury.
    Śpią wszystkie piętra po poddasze,
    Zegar godzinę dzwoni drugą
    Tylko z szczytowej facyatki
    Nikłe światełko błyska smugą...
Tylko w szczytowej facyatce
Zapracowane czuwa życie
I patrzą oczy, łzami lśniące,
Jak one gwiazdy na błękicie!
    Na facyatce—cztery kąty:
    Olchowy stolik i «maszyna»,
    Żelazne łóżko, kapą kryte,
    I bladolica jest dziewczyna...
Olchowy stolik pod jedwabiem;
Leżą pocięte atłas, wstęgi —
Żelazne kółka maszynowe
Przy świetle lampki toczą kręgi...
    Dziewczyna siedzi pochylona,
    Smętną piosenką chwile skraca...
    Stalowa drużka nuci wtórem
    Surową zwrotkę: «życie-praca».
Surowa zwrotka! dłonie skłute,
Płócienny stanik na kibici...!

Z obrzękłych źrenic perłą bólu
Łza po jedwabnej spływa nici!
    Dziewczyna siedzi pochylona,
    Pierś do stołowej ciśnie deski,
    Kosztowną szatę wiąże ściegiem,
    Kosztowną szatę dzierzga w łezki!...
Czasem oderwie wzrok zamglony
I uznojone wzniesie czoło...
I znowu atłas przykrojony
Pod maszynowe kładzie koło...
    Czasem pokłute spoczną dłonie,
    Surowej zwrotki milknie echo...
    Na facyatce do dziewczyny
    Znużenie schodzi z snem—pociechą!
Schodzi na chwilę z niepamięcią
I wypoczynkiem słodkim wabi...
I pierzcha trwożne z zwisłych powiek
Przed szmerem tiulów i jedwabi...
    Dzień... Błyszczy słońce rozjaśnione,
    Złotym promieniem mury kraje...
    Budzą się ze snu wszystkie piętra—
    Z nocnego wczasu życie wstaje...
Tylko szczytowa facyatka
Uwierzyć nie chce w blaski słońca...
W izdebce szwaczki lampka płonie—
A w oczach... ciemno! noc bez końca!

MASZYNISTA.

Naprzeciwko moich okien,
Na «czwartaku» od podwórza
Jest pokoik z przedpokojem
I kuchenka jest nieduża.
    Lokal szczupły, nizki, duszny—
    Malowany farbą siną,
    Wynajmuje od kwartału
    Maszynista wraz z rodziną.
Matka, żona, dziatek troje
Zamieszkują w tej ciemnocie.—
Sam gospodarz gościem w domu,
Przez dwie doby na robocie.
    «Towarowy» do granicy
    Od lat czterech już prowadza.
    Dwa dni w drodze—trzeci w domu...
    Kolejowa tak chce władza.
Dwa dni z rzędu i dwie noce
Na stalowe patrzy szyny!
Każda wiorsta przejechana
To grosz krwawy dla rodziny!
    Po zwęglonej twarzy nieraz
    Łza sygnałem bólu świeci!
    Każda wiorsta—to zarobek!
    Każda wiorsta—dalej dzieci!
Każda wiorsta—to kęs chleba
Opłakany serca biciem!

Łzą tęsknoty za kochaniem!...
Niedaj Boże! nawet... życiem!
Niedaj Boże! Mgnienie oka!
Na to wiele nie potrzeba...
A tam! żona, dzieci troje
I bez dachu! i bez chleba!
Od kwartału z moich okien
Patrzę z okna na *vis à vis*—
I doprawdy—wstyd mi wyznać—
Nieraz serce się załzawi.
Widzę matkę, starowinę,
Jak najmłodsze wnucze pieści...
Dwoje starszych u jej kolan...
Dalej w kuchni biust niewieści.
Smukła postać, z pracy śladem,
Pozłacany splot warkoczy...
Młoda żona maszynisty
Dziwnie smętne miewa oczy...
Widzę czasem—co gotują—
I sprzęt widzę niebogaty,
A co trzeci dzień oglądam
W szarem życiu: «Powrót taty»!
Wszyscy biegną na spotkanie!
Co za radość! co tam krzyku!
«Tatuś! tatuś»! I najmłodsze
Pełza ku drzwiom na bałyku!
Płynie uścisk po uścisku,
Starej matce, drogiej żonie—
Potem dziatwę po kolei
Bierze ojciec w smolne dłonie...

Od kwartału—co dzień trzeci
I mnie serce w piersiach młóci...
I mnie trwożny lęk przejmuje:
Czy on wróci? czy on wróci?

PRZED „ŚWIĘTYM KRZYŻEM".

Z otwartych odrzwi świątyni
Płynie strumieniem tłum zbożny--
Pokorną ciżbą wyrasta
Ponad krużganek czwór-rożny...
Gną się kolana pokłonem—
Modlitwą każda pierś woła—
Szmer cichych westchnień oblewa
Potężny fronton kościoła!
Padają serca i dusze
Przed Domem Bożym w pył skruchy...
Znękana troską myśl ludzka
Wszechmocnej wzywa otuchy...
Z otwartych odrzwi świątyni —
Błagalnym wzruszon pacierzem—
Pomiędzy ciżbą pokorną
Wyszedł Zbawiciel pod Krzyżem!
Wyszedł pod drzewcem z Golgoty,
Pod świętym znakiem Zbawienia!
I stanął z ręką wzniesioną
U kościelnego podsienia!

Stanął miłosny, jak ongi
Na kalwaryjskich skał szczytach!
Źrenice pełne litości
Zwrócił do Ojca w błękitach...!
Z otwartych odrzwi świątyni
Modlitwa płynie i skrucha...
W przedsieniu Chrystus Cierpiący
Stanął pod krzyżem i słucha!
Słucha skarg rzewnych i żali,
Wszelakich smutków i troski—
Wszystko! na drzewce męczeństwa
Bierze ciężarem Syn Boski!
Prawicę uniósł ku górze
On! Świętokrzyzki Syn Boży
I błogosławi tej ciżbie,
Co u stóp Jego się korzy.

NA „WĄZKIM DUNAJU".

Kawiarenkę na Wązkim Dunaju
Co dnia zmierzchem nawiedza Piotr Smalec
Niegdyś majster żonaty i dzietny...
Dziś — bez chleba, samotny, jak palec!
Żona dawno w święconej śpi ziemi,
Dzieci poszły za matką niebogą,
Warsztat skapiał... Oj biedaż! to bieda,
Gdy na świecie człek niema nikogo!

Niegdyś majster stolarski nie lada!
Od Podwala słynął do Zapiecka!
Dziś pół-żebrak!... Ostatnią robotę
Dla własnego wykończył Piotr dziecka!

Ostatniemu dzieciątku trumienkę!...
I już później nie tykał warsztatu...
Starzał... marniał... w boleści i żalu,
Za wygranę dał życiu i światu.

W kawiarence na Wązkim Dunaju
Ma Piotr Smalec stół swój ulubiony,
Popod oknem, ztąd patrzy ku Brudnu,
Gdzie mogiły i dzieci i żony!

Godzinami tak patrzy i duma,
Skamieniały w wspomnieniach żałości,
Aż mu dawna znajoma kawiarka
Szklankę «białej» podsunie z litości.

Wtedy pije kawinę Piotr Smalec
I z uśmiechem gawędzi do siebie:
«Dobra kawcia! takuśką rabiała
«Moja»! «moja»! No! wiecie?! Ta... w niebie!

Czasem strasznym wybucha skowytem,
Gdy mu dusza zaczyna przytomnieć
I żebrzącym zawodzi lamentem:
«Wielki Boże! daj wreszcie zapomnieć!»

Zapomnienie daj Panie nad Pany!
Mnie tak tęskno za oną niebogą!
Zabierz Panie! do żony, do dzieci,
Toż na świecie już nie mam nikogo».

. . . .

W kawiarence na Wązkim Dunaju,
Przy stoliku, jak zwykle, siadł Smalec.
Gospodyni nie była w humorze,
Gdyż przytrafił się w cieście zakalec.
Ofuknęła starego na wstępie
I kawiny tym razem nie dostał...
Stary siedział wpatrzony ku Brudnu,
Do ostatnich tak gości pozostał.
Wreszcie podniósł się ciężko z za stoła
I po kątach wejrzenie szląc łzawe,
Westchnął głucho, aż w piersi zachrzęsło:
«Trza do «mojej» wędrować na kawę!»
Znaleziono go rankiem na Brudnie
Skostniałego przy bramie cmentarza...
Tędy widać na wieczny spoczynek
Poszła dusza sieroca stolarza.

SZOPKA.

I.

Niema bogactwa u Błażejów—
(Trzymają magiel maszynową)
Ale przynajmniej z łaski nieba
Dzieciaki się chowają zdrowo.
Ośmioro Pan Bóg dał drobiazgu,
Ośmioro pociech-cherubinów!

Cztery dziewczęta, jak maliny,
I zbereźniaków czterech synów.
Najstarszy chodzi już do szkoły
Razem z siostrzyczką, co jej Mania,
Z resztą — pędractwem, Błażejowa
Całemi dniami się ugania.
Straszne psikusy i ciekawskie!
Wszędzie ich pełno, zajrzą wszędy...
Nie można chwili spuścić z oka,
Bo zaraz zbroją co w te pędy.
Stłukli już garnczek polewany,
Podarli ojcu kaszkiet nowy,
Nic się przed nimi nie utrzyma
Na utrapienie Błażejowej.
Gadaj tam temu! groch na ścianę!
Dopiero skarcisz—już coś spsocą...
Ojca się jeno trochę boją,
Lecz Błażej wraca zwykle nocą.
Cały dzień w maglu korbą kręci,
Na kęs pracując twardy chleba...
Ośmioro Pan Bóg dał drobiazgu,
Każdemu łyżkę strawy trzeba.
Przez cały tydzień gościem w domu,
Li obiadową wpadnie porą —
Błażejka sama. Na jej głowie
Izba i malców jest ośmioro.
Jeszcze w dzień zwykły jako tako,
Choć czasem jej ustają nogi,
Ale najgorzej przy sobocie,
Gdy przyjdzie pomyć jej podłogi.

Wtedy z drobiazgiem ani rady!
Płacze to w kątach, lamentuje!...
Błażejce żal (zwyczajnie matka),
Cudeńka dzieciom obiecuje.

Właśnie im dzisiaj obiecała,
Że będzie «szopka» przy niedzieli...
Pójdziem na «szopkę» do Błażejów,
Jeżeli państwo będą chcieli.

II.

Dotrzymała obietnic
Błażejowa niewiasta...
Błażej szopkę sprowadził
Ze «Starego» aż «Miasta».

Szopkę pełną różności,
Z lśniącym dachem pod blachą.
Czterech chłopców ją wniosło
Z kantyczkami pod pachą.

Postawili przy piecu,
Zkąd ją widać każdemu,
I poczęli najsampierw,
Kolędować *małemu*.

Dwóch stanęło po boku,
Dwóch za szopką się skryło,
Zapalili rząd świeczek,
Że aż w izbie zalśniło.

Dziatwa siada na stole,
Niby kurki na grzędzie;

Z otwartemi ustami...
Co to będzie? co będzie?
Jaś, co chodzi do szkoły,
Uczy młodsze dziewczątka,
O tym strasznym Herodzie,
Co zabijał dzieciątka...
Dziatwa słucha w skupieniu,
Co powiada brat Janek...
Każde zajrzeć-by rade
W głąb zwieszonych firanek.
Spadła z szopki osłona...
Krakowianka z krakusem
Przyklękają w pokorze
Przed maleńkim Jezusem.
Niosą dary Dzieciątku:
Chlebuś świeży i serek...
Płynie piosnka radosna,
Niczem skoczny oberek!
Potem strażak z kucharką
Zatańczyli *sztajera*,
Potem wyszedł kominiarz,
Co to sadze wyciera.
Potem Węgier z druciarzem,
Potem dziadek staruszek
O jałmużnę poprosił,
Nadstawiając garnuszek...
Znów opadła zasłona,
I znów poszła do góry...
Na złocistej kanapie
Siedzi Herod ponury!

W ręku miecz ma straszliwy,
Dzieci siedzą, jak trusia...
Aż tu z boku wylata
Z ostrą kosą Kostusia.
Do Heroda przyskoczy...
Pod Herodem drzą łydki...
A śmierć woła: «Herodzie!
«Przyszła kara za zbytki!»
Zamierzyła się kosą,
Krew czerwona pociekła...
Wypadł djabeł z widłami
Wziął Heroda do piekła!...
Dziatwa patrzy, jak trusia —
I dziewczęta, i chłopce...
. . . .
Tydzień było spokojniej
U Błażejów po szopce!

W „TANIAKU".

Kto w «taniaku» nie jadał?
Kto w «taniaku» nie jada?
Dziad, co wyszedł na pana,
Pan, co wyszedł na dziada.
Ten, co goni za groszem,
Ten, co grosza żałuje,

Stołował się w przeszłości,
Lub się teraz stołuje...
Trudno nieraz odgadnąć,
Kto zacz, ten ów stołownik?
Wszelkie stany apetyt
Wspólny łączy—mianownik.
Lecz najwięcej wśród gości
Jest studenckiej młodzieży:
W czas obiedni błękitno,
Od błękitnych kołnierzy.
Z uderzeniem dwunastej,
Niby habry na lato,
Wyrastają za stołem,
Czystą krytym ceratą.
Każdy miejsce ma swoje,
Jakby w własnym miał domu;
Ten w pośrodku, ten w rogu,
Nikt nie wadzi nikomu.
Siedli, milcząc, dokoła..,
Z kuchni potraw czuć wonie;
Stawia z brzękiem nakrycia
Służba w białym robronie.
Choć to panny służebne,
Nikt tu żartem nie strzeli.
Młódź ma szczery szacunek
Dla panienek tych w bieli.
Już podano za stołem
Niby w ulu rojówkę...
Przyszła sława lekarska
Ćwiczy z gustem *grochówkę*...

Drugoroczny jurysta
Delektuje się *rurą*
Matematyk w *wołowej*
Całą tonie figurą.
Zjadł połowę i patrzy,
Czy porcyjka nie mała?
Rachunkowa się żyłka
W stołowniku ozwała.
Przyrodników dwóch wspólnie
Nad wędzonką z kapustą
Medytują: czy zdrowo
Jadać mało, a tłusto?
I tak dalej dokoła
Kwiat młodzieży nad strawą
Posila się w «taniaku»,
Nim okryją się sławą.
Zdrowie tryska mu z twarzy,
Zniechęcenia ni znaku...
Widać dobrze jeść dają
W taniej kuchni, «*taniaku*».

PO WARSZAWSKU.

W tramwaju *siedział* on,
W tramwaju *stała* ona —
On młody — *ona* zaś
Staruszka pochylona!...

Jechali razem tak
Od Woli po Czerniaków...
Wymowna próbka to
Grzeczności... warszawiaków!

W teatrze siedział *on*,
A przed nim siadła *ona* —
On—nizki, ona zaś
Modnisia wystrojona!
Kapelusz, jak szczyt wież,
Scenicznych sięgał szranek.
Wymowna próbka to
Grzeczności... warszawianek!

NA „POWĄZKACH“.

Za Powązek cmentarzem
Jest «resursa dziadowska»:
Stara karczma z zajazdem,
Jaką każda ma wioska.
Stara karczma pod gontem,
Z dużą bramą, podsieniem,
Powązkowskich żebraków
Jest najmilszem schronieniem.
Tu po modłach żebraczych —
Na narady się schodzą,

Tu się kłócą o «działy»,
Dysputują i godzą.
Gdy zaś miną «Zaduszki»
Wtedy zarząd «cechowy»
Z roku na rok urządza
Bal dziadowski, składkowy.
Są napitki, muzyka,
Goście w złotym humorze!
Raz do roku dziad nawet
Poweselić się może!
Idą tańce od ucha!
Aż się trzęsie karczmisko!
Józef Łygoń prowadzi,
Co ma «Chromy» przezwisko.
Rzucił kule w zapiecek,
Podparł boków, dał susa,
«Ślepej» Ulce w hołubcu
Skradł, aż mlasło, całusa!...
Przytupuje do taktu,
Ulka zerka nań czule!...
Oczny daszek zielony
Poszedł za piec, na kule!
W drugą parę za «Chromym»
«Paralityk» z «Niemową»
Podrygują w podskokach
Do pułapu nad głową...
«Paralityk» jak świeca,
A «Niemowa»—aż dziwo—
Wyśpiewuje kiej jaka
Przodownica we żniwo!

Dalej inne mkną pary:
Z «Głupią» Kaśką Jan «Głuchy»,
Piotr «Stuletni» Marcychę
Ujął po pod pazuchy.
Nawet Kacper «Garbaty»
Wziąwszy Jagnę «bez ręki»,
Trzyma w tańcu na sercu
Obie dłonie panienki.
Nie dziwota! Ku sobie
Mają zdawna się przecie!
Od kochania Kacprowi
Aż garb zmalał na grzbiecie!
Jagna ręki dostała
(Tej uschniętej z małości)
Różne cuda się dzieją
Pod zaklęciem miłości!
Rznie muzyka od ucha!
Idzie kołem tan skoczny!
W starej karczmie do świtu
Bal dziadowski doroczny!
Jest napitek, przekąski,
Karczma śpiewa i skacze!
. . . .
Poweselić się godzi,
Gdy rok cały kto płacze!

SZAPSIA.

Choć przysłowie utrzymuje,
Że «ozdobą sukni człowiek»,
Jednak odzież jest potrzebną
Do zamknięcia grzesznych powiek.
Zwłaszcza w naszym tu klimacie,
Gdzie są nieraz tęgie mrozy,
Nie okryte niczem ciało
Drżałoby, jak liść mimozy!
Garderoba niejednemu
Napędziła trosk na czole...
Krótko mówiąc—fach krawiecki
Ważną w życiu grywa rolę.
Najważniejszą jednak chyba
W twardej doli literata,
Żyjącego ciągle w «świecie»,
Przędącego myśl dla świata.
Z takiej przędzy bardzo często
(Raczcie wierzyć, państwo moi),
I na ciepłą nawet porę
Garnituru nie wykroi.
Nieraz zatem bezwątpienia
Chłódby gnębił literata,
Gdyby nie skuteczna pomoc
Perły krawców: H. Ekstrata!
W redakcyjnym naszym światku
Dobrze znana perła krawców!

Czy w obozie «postępowym»,
Czy w obozie «zachowawców«!
Popularnie zwany «Szapsią»,
Ma największą w świecie cnotę,
Gdyż na kredyt, na wypłatę,
Zawsze gotów dać «robotę».
Za usłużność tę wśród prasy
Ma nasz Szapsia mir nielada:
Gdy się zjawi gdzie w redakcyi,
Na poczetnem miejscu siada.
Każdy wita go uprzejmie,
Jako posła dobrej wieści,
Poczem idą rokowania:
Mały przetarg słownej treści.
Potem... miara. Dłonie Szapsia
Biorą wymiar literacki,
Nie zaś ręką Fidyjasza,
Jak to słusznie rzekł Słowacki.
Po tygodniu jest garnitur:
Leży zgrabnie jakby ulał!
Na «pierwszego» pierwsza rata,
Jeśli Pegaz nie zakulał!
Gdyż i tak czasami bywa,
Że choć spłynie dzionek «pierwszy»,
Szapsia raty nie dostaje,
Bo... za mało było wierszy!

ROZNOSICIEL.

Znane wszystkim jest przysłowie,
Że «pozory mylą zwykle...»
Oczywisty tego dowód
Na Jacentym mam Ponikle.
Wątły, chudy, przygarbiony,
Krokiem chwiejnym stąpa w «esy»,
A jednakże siłacz, panie!
Że w kąt greckie Herkulesy!
Mówią, że na świecie ongi
Żyły jakieś tam Cyklopy!
Mój Jacenty, choć nie Cyklop,
Dźwiga losy Europy!
I w dodatku w jednej dłoni!...
Czasem skrawek Ameryki
A w ostatnich czasach nawet
Dobrał sobie szmat Afryki!
Milijony dźwignie ludzi,
Cały naród, choćby wielki...
Furda! jakby na ten przykład
Zabrał w kieszeń dwa serdelki.
Weźmie Anglję razem z flotą,
Grecja, Kreta, to dlań kpiny!
Podczas wojny nosił Kubę,
Na przykładkę... Filipiny!
Nieraz kolej wstrzymał w biegu,
W własnej dłoni niósł «rozbicie»,

Lub wyprawę do «bieguna»
Na lodowców zmarzłym szczycie.
Czy to *meeting*, czy parlament,
Czy hiszpańska walka byków,
Wszystko w garści ma Jacenty,
Od Hidalgów do Chińczyków!
Na co zresztą mówić wiele?
Wszakże poznać lwa po grzywie:
Lata całe brał Bismarcka,
Aż pochował go godziwie.
Ulżyło się Jacentemu,
Kiedy zamarł pan z Warcina,
Choć, jak przedtem, «pokój zbrojny»
Dźwigać musi starowina.
Zawsze lżej o męża z stali,
Nie zastąpi go Wolf przecie,
Nawet stado hakatystów
I «junkierskie» całe śmiecie!
Lżej dziś znacznie Jacentemu,
To też raźniej daje susa,
Choć mu znowu dorzucono
«Czarcią Wyspę» i Dreyfusa!
Jakiś czas z nim było cicho,
Teraz znowu jest na wierzchu,
Jacentemu każą nosić,
Nosi z rana aż do zmierzchu.
Nosi co dnia — jak rok Boży —
Mierząc schody spiesznym krokiem.
Raz o «swoje się upomni»
Z życzeniami, z Nowym Rokiem!

Wtedy śmiele do drzwi dzwoni,
I orację pali zwykłą...
. . . .
Czytelnicy! odgadnijcież,
Kim Jacenty jest Ponikło?

NA „WPISY“.

W sąsiedztwie mojem, o ścianę
Mieszka kobieta w żałobie...
Mąż—(pono niższy urzędnik)
Rok temu w zimnym legł grobie.
Został jej synek jedynak,
Stara maszyna do szycia,
Obrazek Matki Bolesnej
I dziesięć palców do życia.
Wieczór jesienny — zacisza...
Przez cienką ścianę przepierzeń —
Przepływa echo stłumione,
Łoskot miarowych uderzeń;
Słychać westchnienia urwane,
Wagowy zegar, gdy bije...
Zgięta nad deską maszyny
Kobieta siedzi i szyje...
Zajrzyjmy sercem do wnętrza:
Dwa łóżka schludnie zasłane,

Stół jeden, drugi, dwa krzesła,
Kominek, sprzęty blaszane.
    Ponad kominkiem — z bielizną
    Konopny zwiesza się sznurek,
    Przy drzwiach szafeczka sosnowa,
    Z niej szkolny błyska mundurek.
Przy jednym stole u okna,
Dłoń matki goni krwawicę,
Przy drugim chłopię blondynek
W książce zatopił źrenice.
    Do pierwszej chodzi już klasy...
    Łacinę właśnie powtarza...
    Matka zamglonem łzą okiem
    Patrzy, jak w świętość z ołtarza!
Jej Jurek! skarby jedyne!
Jedyne szczęście na świecie!
Kiedyś do kolan matczynych
W doktorskim padnie birecie!
    Bóg dobry dodał jej siły —
    Kupiła szkolny mundurek,
    Szynelkę, czapkę z palmami...
    Ma wszystko drogi jej Jurek!
Tylko... I nagle ból blady,
Smutkiem urzeźbił jej rysy...
Ma wszystko... Boże mój, Boże!
Brakuje tylko na... wpisy!
    Północ. W łóżeczku zasłanem
    Marzy dziecięca blond główka —
    Z półsennych ustek niekiedy
    Łacińskie szeptem brzmią «słówka».

Nad łóżkiem Matka Bolesna,
Patrzy na drugą tę macierz
Co łzawem sercem o pomoc
Błagalny k'niebu śle pacierz!
Dzieciątko Boże z obrazka
Rączkę unosi jak ninie...
Jak wonczas mówić się zdaje:
«Co dasz uboższym—nie zginie...»

W ŻELAZNYM SKLEPIE NA GRZYBOWIE.

W żelaznym sklepie na Grzybowie
Utargowanie jest nielada!
Za kupnem przyszli ludzie wiejscy
Caluśka przyszła ich gromada...

Oblicza skwarem bronzowane,
Dłoń czarna, znojem odciśnięta,
Konopna świtka na ramionach,
Konopna świtka, pasem spięta...

Przyszli za kupnem przede żniwy—
Nim źrałe złotem spłyną kłosy,
Po oręż rolny, broń żniwiarza,
Błyszczące sierpy, stalne kosy.

W żelaznym sklepie na Grzybowie
Od rana brzęczy niby w ulu:
—«Nie bądźcie twardzi gospodarzu!»
—«Trza chyba *hań tę* wziąć tatulu!»

Kupiec z kupcową zachwalają,
Żelazny towar w ręku dzwoni...
Żniwiarz próbuje hartu ostrza,
Osełkę czyniąc z własnej dłoni...

Chuchnął raz jeden, chuchnął drugi,
Na ostrze oddech spadł oparem
I po stalowej przemknął wstędze,
Jak mglisty tuman ponad jarem!

«Niczego»—szepce sam do siebie
I w próg uderza kosy kantem.
Przyłożył ucho! nasłuchuje...
Żelazo śpiewa pieśń dyszkantem!

Śpiewa piosenkę o tych łanach,
O tych zagonkach rodnej roli!
O onych kłosach pozłocistych!
O matce ziemi! chłopskiej doli!

O onej doli, co to w pocie
Powszedni chleba kęs spożywa...
O kurnej chacie, krytej strzechą!
O chłopskiem gnieździe kosa śpiewa!...

A żniwiarz słucha—zamodlony,
Jak w Godnie święta na kolędzie...
Położył pieniądz...—«Panie kupiec
Niech-ta już z nami zgoda będzie!»

Wracają z miasta wiejscy ludzie
Żelaznym mostem nad Wisełką...
Na plecach kosy bez styliska,
U pasa kubeł tkwi z osełką...

Oblicza skwarem bronzowane,
Dłoń znojem stalna, jak te kosy!
Wracają z miasta na zagony!
Piosenka dzwoni...! To: «bąndosy»!

* * *

Czy życie prześmiać, czy przeszlochać—
Iść cierniem, czy przez kwieć!
Ukochać! Trzeba coś ukochać!
Coś trzeba w sercu mieć!

Trzeba mieć w duszy, na głębinie,
Kochania jasną skrę!
Z nią iść przez życie! A gdy minie,
Choć po kochaniu... łzę!

Ukochać trzeba coś, ukochać —
Trzeba dać sercu bić!
Milej z kochaniem dni przeszlochać,
Niż z pustką śmiechem żyć!

BANKI MYDLANE.

Bańki mydlane! bańki mydlane!
Bądźmy weseli, dziewczyno!
Daj usta, usta różane!
Pójdziemy marzeń krainą...
Per Bacho! Miłość! śpiew! wino!
I ty, dziewczyno!

Bańki mydlane! bańki mydlane!
Wiek życia za złudy chwilę!
Po co tłuc głową o ścianę...
Wszystko ma skrzydła motyle—
Wzlata i nurza się w pyle
Za złudy chwilę!

Bańki mydlane! bańki mydlane!
Precz z troską! Ginąć, to ginąć!
Bierzmy, gdy więcej nie dane,
To, co ma w nicość rozpłynąć,
A potem... Całun rozwinąć!
Ginąć, to ginąć!

Bańki mydlane! bańki mydlane!
Pij do dna, dziewcze! pij do dna!
Rozchyl źrenice jutrzniane,
Opleć uściskiem pogodna...
Eyohe! Walka bezpłodna!
Dziewcze, pij do dna!

Bańki mydlane! bańki mydlane!
Najdroższa! Runiem z przełęczy!
Wiem! Ale piersi strzaskane
Rozkosz na chwilę zobręczy —
Ubarwi myśli w blask tęczy!
Runiem z przełęczy!

Bańki mydlane! bańki mydlane!
Bądź mi wesołą, dziewczyno;
Pójdziem, gdzie duchy siostrzane
Kochają w słońcu i giną...
Pryśniem jak bańki świetlane!
Per Bacho! Miłość! śpiew! wino!
Nie płacz, dziewczyno!

ANAKREONTYK.

Dopóki w żyłach wrząca krew,
Wszystkich ci uczuć nie wydzwoni.
Uścisk kobiety! wino! śpiew!
Rumieńcem jeszcze lica płoni —
Nie składaj dobrowolnie broni!
Ale z życiowej sącz krynicy
Do samych mętów uciech zdrój!
Spuść wszystkie zmysły z uździenicy,
Zanim ascety włożysz strój!

Żyj nerwów tkanką, mózgu znojem,
Odruchem mięśni! Walcz przebojem
Za chwilę szału! szczęścia piędź!
Całe jestestwo rzuć pod nogi!
Lecz jeśli nie chcesz paść w pół drogi,
Nie szafuj sercem... Serca szczędź!...

CIEKAWYM TEŻ, GDY ZAMRĘ JUŻ...

Ciekawym też, gdy zamrę już,
Kto załka na mym grobie,
I czyje serce przejmie ból,
Kto wspomni mnie w żałobie?
Radbym usłyszał ludzki sąd.
Pękałbym chyba z śmiechu:
Po śmierci mając tyle cnót,
A ani szczypty grzechu!

Erudyt mówkę palnie mi,
Da paszport wprost do nieba —
A w duchu będzie sobie drwił,
Że «takich» tam nie trzeba!
Ludziska zaczną wzdychać w takt,
Ot tak! z owczego pędu —
Kościelny dziaduś modły swe,
Wyklepie mi z urzędu.

Zje z apetytem stary druh
Mą stypę pogrzebową,
I nad marnością ludzkich dni
Pokiwa smutnie głową!
Domowy kundel, wietrząc kość
Nad grobem mym zawyje —
A wierny sługa schwyci coś,
I z żalu się upije.
Wierzyciel skrzywi smutnie twarz,
Zębami będzie zgrzytał,
Że śmierć wyrywa z jego szpon
I lichwę, i kapitał...
«Jehowa— westchnie—czemuż to
«Złamałeś życie młode?
«Mógł pożyć jeszcze parę lat,
«To mniejszą miałbym szkodę...»
Drapiąc się w głowę, stary kmieć,
Orzeknie: «Cne panisko!
«Za życia się wysoko piął —
«Po śmierci poszedł nizko!...»
Może i dziatwy wiejskiej rój —
Com ją tak kochał szczerze —
Zajdzie z lamentem na mój grób
I kwieciem go ubierze...
Ziemia matuchna odda mi —
Bom syn jej z krwi i kości —
Na wieczną własność w łonie swem
Trzy łokcie głębokości.
Wietrzyk przesieje w grobu głąb
Kwiatuszków polnych woni —

I na mogilną świeżą darń
Łzę srebrną rosa zroni...
Żeby to chociaż znaleźć grób
Na swej rodzinnej ziemi...
Szczęśliwym byłby wieczny sen,
Że leżę między swemi!
Że swojski robak zgryzie kość—
Krew korzeń puści w pruchno,
I że się jeszcze na coś zdam
Pod ziemią, pod matuchną!...

(Z CYKLU „RYM“).

Chociaż mi słonko świeci, nie gaz,
A srebrne rosy nie to, co łzy,
Czy się odsednił w skwarze Pegaz,
Czy dekadenckiej dostał zołzy,
Czy nastrojowe zerwał ścięgno...
Dość, że się smutne myśli lęgną!

Leżę na łące, tkanej w jaskier!
Wietrzyk wachluje liściem łopuch;
Opodal bociek, jak seraskier,
Szuka w mokradłach hurys—ropuch!
Z pastwisk bydlęcy leci poryk...
A w sercu... jakbyś wbił scyzoryk!

Leżę i patrzę... W piersiach ciężar,
By na studziennym pniak żórawiu,
I ani wietrzyk ani ten żar,
Co pije rosę z kępek szczawiu,
Ni woń sasanek, owoc jerzyn—
Nie budzą znicza z myśli pierzyn!

O dni młodości złotej! Gdzież wy!!
Gdzie porankowych złud pierwiosnek?!
Gdy za woń rosy—odór mierzwy,
Za ananasy—starczył czosnek,
Za szampan, kruszon—wody dzbanuś,
Podany dłonią pięknej Hanuś!

Gdzieście wy dzionki, zbrojne w pancerz
Świetlanych marzeń, w ułud kolet,
Gdy myśl pląsała jako tancerz,
A wiersz układał się w triolet
Na widok byle Jaguś, Maryś!
Dziś sam rym szepce: «Już zastary-ś!»

NIE SZUKAJ ZWĄTPIEŃ.

Nie szukaj zwątpień, przyjdą same,
Jako po wiośnie zimny szron;
Nim ufnych marzeń wygrasz gamę,
Same uderzą w zgrzytów ton!

Same nadpłyną nieproszone,
Siejąc goryczy w duszę jad,
Jak huragany rozwichrzone
Z najsłodszych ułud odrą świat!
Uderzą w złotą rojeń bramę,
Nagromadzony niszcząc plon...
Nie szukaj zwątpień, przyjdą same,
Jako po wiośnie zimy szron!

GWIAZDKA.

Oderwany od błękitu
Spływa gwiazdek deszcz,
Budząc w tłumie skrę zachwytu,
W mędrcu wiedzy dreszcz.
«Dusze lecą»—prostak głosi
(Będzie przy tem trwał),
Astronomja szkło podnosi,
Twierdząc: «Bryły ciał».
Co zaś do mnie, rzeknę śmiało,
Widząc gruby błąd:
Że i dusza jest i ciało...
Mam swój o tem sąd!
Z doświadczenia rzecz opowiem...
Ot! raz w pewnem z miast
Spadła na pierś mą ołowiem
Jedna z takich gwiazd!

Była, jak ja, z krwi i ciała,
Miała wzrok, smak, słuch...
A i duszę pewnie miała,
Bo jadła za dwóch!
    Nic mi złego nie zrobiła—
    Pomnę jak przez sen —
    Tylko kieszeń przepaliła
    I pomknęła hen!

WYTARTY SREBRNIK STARY.

Wytarty srebrnik stary,
Metalu zimny krąg,
Po długiej snadź wędrówce
Do mych się dostał rąk.
    Wytarty srebrnik stary,
    Mieszkaniec licznych kies...
    Ile też przyniósł szczęścia?
    A ile widział łez?
Rzuciłem go w skarbonę,
Z metalu zabrzmiał dźwięk,
Podobny echu skargi,
Jak ludzkiej piersi jęk.
    Nie chciałem badać dłużej...
    Ten jeden starczył ton!
    Wytarty srebrnik stary,
    To w walce o byt dzwon!

Nie chciałem badać dłużej...
Słyszanych dość mi skarg!
Puściłem srebrnik stary
Na dalszy życia targ!

STROFA.

Piękne i dobre zawsze będzie blizkiem,
Choćby w odległej rodziło się grzędzie,
Bo ono w Bogu poczętem zjawiskiem,
A Bóg jest jeden dla wszystkich i wszędzie!

Więc co Zeń idzie, co przez Imię Boże
Istnienie swoje wzięło i nazwisko,
Jak słońce niebios wypełnia przestworze,
Nad każdą ludzką złocąc się kołyską!

I, niewstrzymane słupy granicznemi,
Krąży, trwa, ducha użyźniając jaśność,
Jednakie blaski ma dla każdej ziemi,
Bo niepodzielną wszystkiej tworzy własność!

BYŁO NAS TROJE.

Było nas troje... Ja, ona
I «Heine» (w trzeciem wydaniu)...
Dobrany tercet śpiewaków
O serc prawdziwem kochaniu!

Dziewczyna wzdychała czule,
Jam patrzył w oczy pieszczotki,
Poeta szeptał na uszko
Czarownych piosnek swych zwrotki!

Było nam dobrze we troje,
Jak w maju—raju o wiośnie.
W piersiach się słodycz rozlała,
A serca biły radośnie!

Poeta śpiewał bez przerwy,
Dziewczę słuchało z zachwytem;
Miłość świeciła nad nami,
Jak promyk słonka błękitem!

Czułem jej serce przy sercu!
Splot złoty! usta wisienki!
Słodkie «*Das evig weibliche*» —
Wtórzyło zwrotkom piosenki!

Więc padłem do stóp dziewczyny.
—Kochaj!—prosiłem ją blady...
—Nie mogę—rzekła z westchnieniem—
Pan nie ma dotąd posady!

Wróciłem z «Heinem» do domu;
Poeta żółcią się zalał!
Za to sekretarz powiatu
Serce dziewczyny rozpalał!

SAMOTNOŚĆ.

Nie probój stroić warg
W ton żalu, akord skarg
I nie odkrywaj piersi
Gdy targa ból ponury...
Odbiegną cię najszczersi
Za lasy hen! za góry!
Za klucz dziesiątych bram!
Sam będziesz! tylko sam!

Więc sam, bez bratnich dusz,
Walcz z troską, rozpacz głusz!
Miażdż serce, wypruj żyły!
Niech krew serdeczna broczy...
Lecz ludziom, druhu miły,
Weselem rzucaj w oczy...
Kto cierpi. cierpi sam,
Aż do cmentarnych bram!

KULIGIEM.

Kuligiem! lecą marzenia...
Kuligiem lecą i dzwonią!
Sokole skrzydła nad skronią
W świetlane biją sklepienia.
Rozgrzana myśli pogonią,
Rumieńcem krew się utlenia!
Kuligiem! lecą i dzwonią!
Kuligiem lecą... marzenia!

Kuligiem! lecą marzenia...
Kuligiem lecą i brzęczą!
Każdą ścieżynkę istnienia
W ogniwa złote obręczą!
Dzierzgane zorzą i tęczą
Życie się w zachwyt spromienia!
Kuligiem! lecą i brzęczą!
Kuligiem lecą... marzenia!

Kuligiem! lecą marzenia!
Żałobną taczkę pcha jawa!
Wygasła z ułud płomienia
Myśl wstaje smutna i łzawa,
Parzy po drodze z kamienia,
Własnym się bólem napawa...
Kuligiem! lecą... marzenia!
Żałobną taczkę pcha jawa!

Kuligiem! lecą marzenia...
Żałobną taczkę pcha jawa!
Życie w pół kresu ustawa,
Płacze i prosi wytchnienia!
Licząc stargane złudzenia,
Zastyga w ciszy, jak lawa...
Kuligiem! lecą... marzenia!
Żałobną taczkę pcha jawa!

W KSIĘDZE ŻYCIA.

W księdze życia dzień za dniem, za latami lata
Przynoszą nowe prawdy do bytu skarbnicy;
Każda chwila treść nową w stare wątki wplata,
Jak rozdziały powieści na nowej stronicy.
Szczęście, uśmiech, łzy, bóle, wiarę i zwątpienia
Mieści skarbiec życiowy, dla wszystkich otwarty,
Szkoda tylko, że nigdy ludzkiego istnienia
Nie starczy, by doczytać do... ostatniej karty!

CZYŻ TO JEST GRZECH?

Czyż to jest grzech,
Że wolę srebrny śmiech,
Wesela dźwięk, gdy z młodych tryska warg,

Niż ckliwy ton,
Westchnienia słabych łon,
Rozpaczny jęk, chór beznadziejnych skarg?...
Że wolę wzrok,
Co przedrzeć pragnie mrok
Z nadziei skrą w nadejście lepszych dni...
Co tłumi żal
I z wiarą patrzy w dal,
I gardzi łzą, choć boleść w duszy tli!
Że chciałbym świat
Umaić w szczęścia kwiat,
A z bliźnich łon nie słyszeć smętnych ech!
Że radbym ból
Wytrzebił z naszych pól...
Pogrzebny dzwon w radosny zmienił śmiech!
Czyż to jest grzech,
Że chciałbym szczepić śmiech,
Marzone sny po twardej jawie śiać,
Dobrze czy źle?
Nie powiem nigdy: nie!
Taki padł los, nawet śród łez się śmiać!

WIERZĘ.

Wierzę, że ludzkość zawsze będzie łaknąć
Odkrycia wielkich wszechbytu tajników!
I że jej nigdy nie może zabraknąć
Ani ofiary, ani ofiarników!

Po kościach w walce poległych rycerzy
Nowe przebojem pójdą pokolenia,
Znowu z uporem rozpoczną bój świeży
I padać będą bez trwogi i drżenia!

Nic żywych rzeszy nie złamie otuchy,
Rozczarowanie nie zgasi zachwytu!
I zawsze będą wzlatać ludzkie duchy,
Szukając prawdy różanego świtu!

ŻARCIK.

Nasz praszczur Adam gołym był
I gołym wyszedł z raju;
Ztąd u potomnych przymiot ów
Po dziś dzień we zwyczaju.

Aczkolwlek bowiem Ewa liść
Nosiła z namów węża,
Jednakże, w intercyzy moc,
Nie kryła długów męża.

Dlatego, kto z żyjących wprost
Z Adama ród swój wiedzie,
Po wszystkie czasy gołym jest
I stęka wciąż: o biedzie!

Ktoby zaś wątpić o tem chciał,
W golizny cnotę godził,
Ten małpiej krwi domieszkę ma,
Co Darwin już dowodził.

RADA.

Przeminął maj, przeminął maj!
Słowicza pieśń przełkała!...
Ostatni—dziewcze, uścisk daj,
Zapomnij, żeś kochała!
Ostatni uścisk—dziewcze, daj!
Niech się w rozstaniu spali!
Zaprzestań kochać! minął maj...
Nie możesz?
Kochaj daléj!

NA OLIMPIE.

Gdzie Helikonu szumi gaj,
Spowity w zorzy togach —
Piotr z Pawłem, Święci sędziowie dwaj,
Zasiedli na trójnogach.

I sądzą... Stary sądzą świat
Zeusów... (nazwa: grecka)
Bogów, co długi szereg lat
Rządzili tu z... niemiecka!
Już osądzonych cały rząd
W bezwładzy wzdychał smutnie...
Kiedy przed świętych stanął sąd
Apollo — niżąc lutnię!
I łkał... jak, dziecko małe, łkał,
Gdy sen trwożący prześni...
I jedną tylko prośbę miał:
«Nie dajcie skonać Pieśni!
«Niech żyję! w padół płynąc skarg
Pomiędzy ludzkie plemię!»
Po chwili—z świętych padło warg:
— W spokoju idź na ziemię!
Usłyszał to Merkury w lot,
A bojąc się wyroku,
Pod długiej Feba szaty splot
Zachylił się w podskoku.
Udało mu się zręcznie skryć—
Bezkarnie uszła wina,
Szczęśliwie przebył straży sieć
W chlamidzie Apollina!
Gdy zaś dotknęli ziemskich dróg,
Przez wdzięczność dla Pieśniarza,
Mytologiczny (handlu) bóg
Zamienił się... w księgarza!

CIENIOM SŁOWACKIEGO!

Z czem mi stanąć u twej trumny?
Gdybym zdobył się na męstwo
I zagrobne chciał zwycięstwo
Wieścić Tobie! Prochu dumny!
Z czem mi stanąć? Z uwielbieniem,
Ustrojonem w strofę składną?
Abyś odczuł pod kamieniem
Że cię kradli i dziś kradną!?
Że natchnienie złotouste
Twojej schedy—dzisiaj łup,
Nicowany w dźwięki puste!...
Z czem mi podejść przed Twój grób?

Jabym nie śniał u Twej trumny
Co urosła przez półwieka,
Że widnieje, choć daleka —
Bez napisów! bez kolumny!...
Jabym nie śmiał stać i nucić!
Ani maską lśnić ofiarną!
Gdyżby z trumny mogło wrócić
Strasznem echem:—To nie ziarno!
To nie wieniec jest błyskawic,
Co w zachmurzu złoci szlak!
Ale blady tuman mgławic!...
Cóżbym odrzekł?... Smutne: tak!

Jabym nie śmiał u twej trumny
Giąć kolana z taką danią!
Jak ów z rozśpiewaną krtanią
Zimnych płaczków poczet szumny!
Co usłane oktawami
Po Beniowskich zasiadł gniazda
I chce wzlatać pod gwiazdami
W własnej pysze — jako gwiazda!
Co w roztruchan po Anhelich,
Ckliwych rymów sączy zdrój...
Jabym nie śmiał... Bo to kielich
Z Twego skarbca! kielich Twój!

Z czem mi stanąć u Twej trumny?
Chyba z duszą, co się łzawi!
Chyba klangor ci żórawi,
Rozskrzydlonych ponad gumny,
Wezmę w serce i zaniosę.
Chyba zorzę! ziemi skrawek,
Uperlony w ranną rosę!
Chyba wierzbnych pęk ligawek!
Lub kiść niezapominajek
Rwaną z ponad Ikwy wód!
Z czem mi stanąć? Wiejski grajek —
Jakiż, w słowa zaklnę, cud??!!

BAJKI.

Półsennej drobnej dziecinie,
Co słucha trwożna i blada,
Niańka o szarej godzinie
Czarowne baśnie powiada:

O smoku, co ma trzy głowy,
I ogniem na ludzi zionie,
Strzegąc zaklętej królowej,
Co na złocistym śpi tronie...

O duchach, które w Zaduszki
Żałobnych żebrzą pacierzy...
Dziecię się tuli w poduszki —
Słucha z podziwem i wierzy!

Dziecięca wiara zbyt krucha!
Gdy czas w młodziana je zmienił—
Już więcej niańki nie słucha...
Rozum te «bajki» ocenił.

Młodzian do arki swych wierzeń
Nie lada zamknął klejnoty:
Tętno sercowych uderzeń,
W niewieście spowite sploty.

Łzę — którą litość rozlała,
Prawdy posążek w negliżu,
Wierność—hartowną, jak skała.
Przyjaźń, wytrwalszą od spiżu...

I co dnia do ich świętości
Przychodził czołem uderzyć,
By z sercem, pełnem ufności,
Iść dalej w życie i... wierzyć!

Dziś arka pusta... próchnieje!
Nic do niej młodzian nie wkłada!
I szydząc, nieraz się śmieje:
«To wszystko bajki»!—powiada.

Pierzchły wiosenne porywy,
Tęczowe znikły miraże...
Z młodzieńca starzec sędziwy
Żyje, jak życie żyć każe.

Zapał mu z oczu nie błyska,
Krew wolniej w żyłach pulsuje
U rodzinnego ogniska
Powszedni chleba kęs żuje!

Dumają z żoną we dwoje —
Ta tylko wiara ich krzepi:
Że za trud ziemski, za znoje,
Tam, w górze, będzie im lepiej:

Ta wiara im z czoła świeci!
Bo tego ludziom nie dowieść:
Czy to znów bajka dla dzieci,
Czy też prawdziwa opowieść?!

NIE SŁUCHAJ PIEŚNI...

Nie słuchaj pieśni w twardej życia doli,
Jeśli ci rozpacz i zwątpienie pieje —
Co o męczeńskiej śniąc aureoli,
Osłabia wiarę w siły i nadzieje.

Gdy ciągła boleść z życiem się zespoli,
Już od jej razów dłoń twa nie omdleje,
Lecz na pociski pierś nadstawisz śmiało
Ogrzaną sercem, co nigdy nie drżało!

Nie słuchaj pieśni tej, bo ona kłamie,
Sącząc do duszy jad zwątpień złowieszczy,
Co serce słabi i hart woli łamie,
Niecąc w twych piersiach prąd rozpacznych
[dreszczy!

Ale do czynu wznieś wytrwałe ramię,
I próżno z oczów nie roń łzawych deszczy!
Wzrokiem pogodnym patrz, zkąd boleść kroczy,
I w twarz jej spojrzyj, a odwróci oczy.

Nie słuchaj pieśni, ni tych Wajdelotów,
Co przed posągiem ukląkłszy Nirwany,
Z twarzą pochmurną a sercem Helotów,
Łzą wymuszoną chcą zabliźnić rany...

Lecz na wyłomie stój, do czynu gotów,
Choć nad twą głową huczą huragany —
Burze przeminą, a błyskawic wieniec
Zmieni dzień jasny w tęczowy rumieniec...

Młodzi jesteśmy, a już myśli smętne
Widzianej wczoraj nie dościgną tęczy!
Rojone kiedyś widziadła ponętne,
Jak owe włókna roboty pajęczej,
Wiatr rozwiał w pyły! I znikła ułuda,
Co w młodych piersiach odtwarzała cuda!

Zostało życie w ramach twardej jawy,
Nie umajonej wyobraźni kwiatem!
Codzienne troski i powszednie sprawy —
Walka ze sobą i przesądów światem —
I w głębi piersi tajone pragnienia,
Co od rozpaczy bronią i zwątpienia!

O! sny młodości! dla nas pogrzebane!
Chociaż z popiołów skrzydła was nie dźwigną,
I nie uniosą na szlaki różane,
Zostańcie w sercach! niech one nie stygną!
I czasem ciepłem ozwijcie zię echem —
Gdy rzeczywistość mrozi swym oddechem...

Młodzi jesteśmy! lecz kres niedaleko!
Niechże choć jeden z snów złotych się ziści!
I gdy trumienne pokryje nas wieko
Niech nań nie padnie klątwa nienawiści!
I niech potomni wybaczą w dzień chwały,
Sercom zastygłym, co także kochały!

Niech nas tej ziemi oddadzą bez złości,
Żeśmy przez życie przeszli tak ułomni!

A dziecię nigdy pogrzebanych kości
Jako upiorów ze strachem nie wspomni...
Chociaż ty jeden spełnij się śnie błogi:
Na groby ojców—niech dziecię zna drogi!

GŁUPIEC.

Chodził po ziemi piersią szczerą,
W miłości wierząc kwiat,
Rozpacz, zwątpienie, zwał «chimerą»,
A kochał... cały świat!
    Wierzył: w przyszłości dzień słoneczny,
    Prawdy różany świt,
    W pogodę ducha, pokój wieczny,
    Braterstwa ludów myt.
W konieczność—wierzył—ideału,
Słowa—potężny ton!
W nadziei zorze, błysk zapału
I dzielnych czynów plon.
    Czuł, że w wszechświecie nic nie ginie:
    Łza—rosa, ni krew—pot
    I że ludzkości ku wyżynie
    Podążać winien lot.
Wierzył w żywotność ludzkiej pracy
I urok piękna czuł...
I żył—jak żyją leśni ptacy:
Pajęcze włókna snuł...

Z zapałem mędrca, z wiarą dziecka,
Na Pnyksu darł się szyt!
Aż go strąciła w głąb zdradziecka
O zwykły walka byt!

Pokochał dziewczę—krasawicę!
Lilijką czystą zwał!
W końcu—wyśmiany przez zwodnicę—
Miłosny przeklął szał!

I odszedł smutny. Serce harde
Przestało kochać już,
I odtąd zawsze czuło wzgardę
Ku bratniej spójni dusz.

Ujrzał niebawem krew przelaną
O marny chleba kęs!
I pracy ludzkiej smutne wiano
Błyszczące z łzawych rzęs...

Wyśmiano jego wiedzy żądze,
Do ideałów cześć!
Mówiąc: cel życia—mieć pieniądze,
I zawsze dobrze zjeść!

Więc—urok piękna go nie wabił,
Zachwytów zerwał nić,
I lepszą cząstkę ducha zabił
Byle módz znośnie... żyć!

Chodził samotny po tych stratach,
Jak martwy odłam skał,
I sam się nieraz w późnych latach
Koronnym głupcem zwał!

. . . .

Spotkałem niegdyś tego człeka
I witać chciałem rad...
Uciekł, krzyknąwszy mi zdaleka:
«I ciebie zmieni świat!»

„GRZYBKI".

Jak mówiłem, piękne panie,
Rad wam służę od kolébki...
Jesień blizka... grzybobranie...
Oto przepis jest na «grzybki»:
    Jedna z pierwszych rad na wstępie:
    Zastosować system szybki!
    Grzyby rosną w raźnem tępie—
    Póki pora, przyrządź «grzybki».
Obierz, opłucz, posól hojnie,
Daj korzeni, jak do rybki;
Gdy postoją tak spokojnie,
Warkim octem zalej «grzybki».
    Włóż cebulki szatkowanéj...
    Gdy zaś puszczą już sok lépki,
    Kładź warstwami w słój gliniany
    I znów octem zalej «grzybki».
Gdy gotowe—daj wieczorek
Z wintem (choćby bez przysypki),
A mąż będzie jak amorek,
Gdy do wódki podasz «grzybki».

Wzgardzi wszelkiem posiedzeniem,
Przyjacielskie rzuci bibki,
Będzie w domu tkwił kamieniem,
Mając ciebie, mając «grzybki»!
Gdyby jednak skrewił czasem,
Proszę—nie rób min Ksantypki;
Zamiast napaść nań z hałasem,
Na dwa spusty zamknij «grzybki«...
Wtedy zaraz dudy w mieszek,
Z innej zacznie nucić skrzypki,
Będzie żebrał o uśmieszek,
O całuska i o «grzybki»!
Ty zaś przebacz mu wspaniale —
Zawsze górą są przylépki —
Rozchyl wdzięcznie ust korale
I na deser podaj... «grzybki»!

DOPRAWDY DZIWIĄ MIĘ TE SŁOWA...

Doprawdy! dziwią mię twe słowa!
Wieje z nich pesymizmu chłód;
W twych ustach nuta minorowa,
Sztucznej Nirwany chyba płód?!
Bo... czyż na serjo, piękna pani,
Sądzisz, że fałszu jest nasz wiek?

Że uśmiech w twarzy lub jęk krtani,
To podrobionych uczuć czek?!
Pozwól... zaprzeczyć się ośmielę...
W rozbracie z czynem mowa twa!
Wszak i twych cząt kapitele
Czysta jak kryształ kryła łza!...
Niedawno... Pomnisz—w karnawale...
Na korzyść biednych miał być bal...
Pamiętam przecież doskonale,
Jak szczery wówczas był twój żal!
I nie dziw! Zimy jarzmo srogie...
Mróz sutereny ścinał w lód,
A na poddasza, na ubogie,
Już zaglądały nędza, głód!
Więc uradziły tkliwe serca,
By doli tej położyć kres,
(Niech sądzi, co chce, świat szyderca)
Bal... tylko dla otarcia łez.
Serc litościwych protektorat
Wnet całą sprawę ujął w dłoń,
Odbył posiedzeń kilka, porad...
Wszak pani należałaś doń?
W przeddzień, pamiętam do tej chwili,
Kazałaś mi u siebie być.
Zachodzę... patrzę... pani kwili
Nerwowo, szarpiąc frędzli nić!
Słusznie! Krawcowa niegodziwa,
Jak sama objaśniłaś mnie,
Na czas z sukienką nie przybywa!
O całą dobę spóźnia się!

Więc — wybacz pani mej śmiałości —
Przeczę, by wiek nasz był tak złym...
Symbol litośnej nadczułości
Widziałem w cudnem oczku twém!

WRÓŻBA.

Chcesz, bym ci wieszczbił, dziewuszko!
Doprawdy! trudno być wróżem...
Dlaczego? Powiem na uszko:
Cała twarzyczka pod różem!
Chyba mi zajrzeć w serduszko,
Gdy mam być wróżem.

Pozwalasz? Ach ta sznurówka!
Weźmy «promienie Roentgena»...
Już widzę! Serce jak główka!...
Marzeniem: Piękna Helena,
Mąż stary... pałac... gotówka!...
Ach te «promienie Roentgena»!

Wybacz... Więc mówić mam daléj!
W zakątku promyk tli złoty:
Z pod ślubnych mirtów, woali
Pragnienie lubej pieszczoty...
Obrączka jarzmem ze stali!...
W zakątku promyk tli złoty!

Co to? Ty płaczesz, dziewuszko!
Widzisz! niedobrze być wróżem!
Wszystko wyjawi serduszko,
Chociaż twarzyczka pod różem...
A może ona jest wróżką?
A ja fałszywym li wróżem!

„NASTRÓJ".

Czem jest nastrój, piękna pani?
Racz posłuchać, a objaśnię...
To ten mrok, co duszę rani,
Gdy w zachmurzu słońce gaśnie;
To te gwiazdy rozwiezione
Mleczną drogą na firmament;
To te brzozy oroszone,
To śmiech dziecka, starca lament;
To głaz polny na bezdrożu,
To brzęk sierpów, poszmer trzciny,
Skowrończana nuta w zbożu;
To te góry, te doliny,
To te brzegi z zielną skronią
Ponad Wisłą, ponad Narwią,
Kędy latem kosy dzwonią,
Gdzie się wiosną kwiaty barwią!

Nastrój to jest szept pacierzy,
Odgłos dzwonków, młotów granie,
Stara sosna na trzebieży,
Drzewny krzyżyk na kurhanie!

To izdebki wyrobnicze,
Wilgne ściany, westchnień chorał;
To te brózdy przez oblicze,
Które twardy los wyorał!

To portrety w twym salonie,
To sukmanka, to pas lity,
To ten chlebuś na zagonie,
To te zmierzchy, to te świty!

Nastrój kwietnym jest kobiercem,
Łzami, co się z źrenic prószą...
Tylko trzeba patrzeć sercem,
Tylko trzeba słuchać duszą!

ZE WSZYSTKICH PIEŚNI...

Ze wszystkich pieśni, które ludzkość śpiewa
Nad łzą wylaną, lub łożem boleści,
Ta tylko pustem echem nie rozbrzmiewa
I zapomniana nie ginie bez wieści,

Gdy dźwięk jej rzewny z ludzkich mózgów cieśni
W piersi się przedrze i serca zniewoli,
A słuchacz, czynem spełniając treść pieśni,
Pomocną rękę podaje niedoli...

SEN.

Przyśniło mi się, że jestem «crackiem»!...
«Miałem rodowód wspaniały,
Grzbiet mój bogatym kryto czaprakiem,
Syt byłem szczęścia i chwały.
 Miałem mieszkanko szyk! na parterze,
 Z marmuru żłoby i ściany,
 Żyłem wyłącznie w najwyższej sferze,
 Z hrabiami tylko a pany.
Własnego miałem weterynarza,
Do usług kilku anglików,
Rżałem jedynie (ludziom się zdarza)
W narzeczu obcych języków.
 Dziedzic mnie co rok słał aż za morze
 Na jakiś «trening» do niemca,
 Więc, chociaż polskie chrupałem zboże,
 Nie było we mnie tuziemca.
Może dlatego przez życia szranki
Szedłem szczęśliwie do mety,
Miałem oklaski, pochlebne wzmianki,
Pisały o mnie gazety.

Prysnął sen bańka z otwarciem powiek...
Na jawie zwykły znów kierat!
Z smutkiem poznaje, żem tylko człowiek,
W dodatku chudy literat.
Płacę komorne, wierszydła klecę,
A nieraz pusto jak w garnku,
Nim zaś do mety życia dolecę,
Może nakręci człek karku.
Więc choć zawiści nie mam do ludzi,
Ani też losów klnę nierząd,
Żal mimowolny jednak się budzi,
Że nie należę do zwierząt.
Miałbym mieszkanko szyk! na parterze,
Z marmuru żłoby i ściany,
Żyłbym jedynie w dobranej sferze,
Z hrabiami tylko a pany!

NIE SZUKAJ GWAŁTEM.

Nie szukaj gwałtem słońc bez plam,
Ani się gorsz z cnót wyszczerbionych,
I nie plwaj w twarz wykolejonych,
Co zbiegli z ciasnych zycia ram,
Kredą święconą zakreślonych.
Nie wszyscy płynąć chcą za wodą,
Nie wszystkim losy wskażą bród...

Kto w wirze pierś poranił młodą,
Nie dziw, że chwiejny miewa chód!
Nie wszystkich wabi do się, nęci,
Cichy, w ślimaczych zwojach byt...
Ten tylko kark w przepaściach kręci,
Co stopą mierzył na sam szczyt!

FRAGMENT.

Nie wierzcie nigdy, że wszystko już było,
Że świat odwieczną posila się strawą,
A bytu tętno raz nadaną siłą
Rozbudza życie przez odruchów prawo!
Że nie wystrzeli z mózgowego znoju
Duch ludzki snopem świeżych wyobrażeń—
Lecz bez dociekań, w ciszy i zastoju
Przeżuwać będzie resztki dawnych wrażeń!
Każda się chwila rodzi nowa, świeża,
Nieznanych w sobie niosąc zjawisk strumień,
I wzrok ludzkości nowy blask uderza,
Zmuszając piersi do okrzyku zdumień.
Z wczorajszych mgławic nowy zórz [rumieniec
Przebiega światy słonecznym rydwanem,
Czoła ludzkości w nowy zdobi wieniec,
Pierś chłodząc świeżych pojęć huraganem!

Wczorajsze zmierzchy i jutrzejsze świty
W duszy człowieczej zawsze wzbudzą sprzeczność!
I nigdy szereg wrażeń jednolity
Na nieruchomą nie wedrze się wieczność!

STROFY SZCZERE.

Drugim radź: pracować *na siebie*,
Wieść żywot ruchliwy i czynny,
Staraj się jednak usilnie,
By *na cię* pracował... ktoś inny!

II.

Aby wznieść się nad poziom
I sławą upiérzyć,
Niezawodny jest środek:
Poziomy... obniżyć.

III.

Kop dołki pod drugimi,
Krzycz na nich: «hałastra»!
Czyniąc innych niższymi,
Sam wzrośniesz... *ad astra!*

IV.

«Dwa a dwa cztery»... Zaiste!
Prawda niezbita i święta!
Cóż z tego? gdy Icek mój pyta:
«Gdzie mam *dopisać* procenta?»

V.

Był czas, że noga wspierała nogę,
Dziś za to chodzą jak w pętach.
Ludzie kupują płyn «na odciski»
I... depczą sobie po piętach!

„N A L E W K A".

Kiedy w głowie szumi nieco,
Szumi nieco,
Łatwiej o przyśpiewkę,
Więc zanucę dzisiaj państwu,
Jak robić «nalewkę»!

A choć kuchnia i spiżarnia
Babski pono wydział,
Babski pono wydział!
Słowo, że nie pokpię sprawy,
Bom u żony widział!

Spirytusu butli parę,
Butli parę!
Byle dobrej próby!
Potem wisien syp pod miarę—
Nawet bez rachuby!

Jeśli pora zaś wcześniejsza,
Niż tej oto pieśni,
Niż tej oto pieśni!
Lepiej jeszcze, zamiast wisien,
Nasypać czereśni!

Potem ustaw w miejscu takiem—
W miejscu takiem,
Gdzie się słonko śmieje!
Niech się przejrzy w butelczynach,
Niechaj je wygrzeje!

Trzymaj tydzień, dwa i dłużej,
To już do twej doli...
To już do twej woli...
Po tygodniu dosyp cukru,
Spirytusu doléj!

Z chwilą zaś, gdy owoc zblednie—
Owoc zblednie—
Na kolor papuzi...
Masz «nalewkę» jak się patrzy!
Warto jej dać buzi.

Zlej w gąsiory, spróbowawszy,
Czy będzie smakować!
Czy będzie smakować!
Tę ostatnią radzę zwrotkę
Nawet zabisować!
Nawet zabisować!

W ALBUMIE.

Dobrze ci będzie na świecie,
Dobrze, dziewczyno!
Ani cię boleść przygniecie,
Z twych ocząt łzy nie popłyną,
Bo czytam na twej winiecie:
«Serce, to zbytek w kobiecie!»
Prawda, dziewczyno?
Ty gardzisz zbytkiem—aniele!
Lubisz prostotę...
Mieć serce—to dziś za wiele!
Głupi, kto czuje ochotę,
Jak średniowieczni minstrele,
Walczyć o miłość, o cnotę!
To śmieszne cele!
O! będziesz bardzo szcząśliwą,
Ręczę ci za to!
Obrawszy tezę właściwą,
Wnet wyjdziesz za mąż bogato,

Wypieścisz męża skroń siwą,
Będziesz mu miłą i tkliwą...
Zapłaci za to!
A choć twój wianek mirtowy
Ktoś łzą obleje...
Choć go chłód przejmie grobowy,
Serce mu z bólu zlodnieje,
Ty—zaczniesz miesiąc miodowy
Z twarzą, co zawsze się śmieje...
Nie stracisz głowy!
A gdy już staniesz u szczytu,
Może choć późno
(W jakim momencie przesytu)
Uczujesz w głębi treść luźną...
Braknie ci wówczas do bytu,
Miłości serdecznej szczytu,
Ale zapóźno!
Zapragniesz rzucić na świecie,
W szale gorączki—
Wraz z smutkiem, co piersi gniecie,
Dostatek z ślubnej obrączki...
To przejdzie! Pięknie na świecie!
. . . .
W brylanty wystroisz rączki...
Wyjedziesz z mężem w karecie!...

RAZ SNIŁO MI SIĘ...

Raz śniło mi się, że byłem w niebie...
Szczęściem, iż tylko się śniło!
Bo tam, o pani! nie było ciebie,
Co mię głęboko zmartwiło.
Gdy sen trwał dłużej, z niebios [promiennych
Spadłem do piekieł otchłani...
Wstyd mię, zaiste! tych wizyj sennych,
Bo tam... znalazłem cię pani!
Niechże sny owe marą zostaną!
Dziś o to błagam cię łzawie:
Daj mi swą rączkę, rączkę kochaną,
I spraw mi... czyściec na jawie!

PÓŁ SERYO—PÓŁ ŻARTEM.

Pytały piękne mnie panie:
«Określ pan w sposób treściwy,
«Kiedy ta chwila nastanie,
«Iż świat nasz będzie szczęśliwy?!
«Bo mówią, że wy, poeci,
(Tak mię nazwały przez kpiny)
«Gdy was natchnienie oświeci,
«Wieszcze miewacie godziny...

«Lecz niech pan będzie otwartym
«I prawdę mówi, jak spowiedź!...»

. . . .

Na poły seryo, pół żartem,
Taką im dałem odpowiedź:
«Gdy równość nie będzie mianem,
«Lecz wszyscy sobie bliźniemi,
«Nie tam gdzieś, w niebie, przed Panem,
«Ale i tutaj, na ziemi —
«Kiedy dłoń serca posłucha,
«Pieśń czynem skończy swój chorał,
«Da ciału chleba, a w ducha
«Zaszczepi cnotę i morał—
«Gdy praca będzie dyplomem
«Do wszystkich społecznych szczebli,
«Gdy nikt nie wzgardzi ze sromem
«Dłonią od piły i hebli—
«Gdy ten, co więcej mu dano,
«Rzeknie: biedniejszym dać muszę!
«A miłosierdziem przestaną
«Litosne bawić się dusze—
«Dewotka, co w modłach tonie,
«Bezmyślnie szepcząc pacierze,
«Dzieci poczesze w ochronie,
«Sieroce szmaty wypierze —
«Gdy ten, co lud ma w opiece,
«Jak drugi Coola Rienzi,
«Nauczyć chłopa «a, b, c»,
«Codzień... godzinkę poświęci —

«Gdy moje piękne słuchaczki—
«Zamiast tu słuchać i ziewać—
«Zajrzą do kuchni i praczki,
«Lub pójdą kwiatki podlewać...

. . . .

Mówić mi dłużej nie dały!
Taki rozmowy był wynik,
Iż później wszystkim szeptały,
Żem utopista i cynik!

PAMIĘCI JULJANA ŁĘTOWSKIEGO.

Przy jednym stole szereg lat
Siadała nas gromadka,
Druh z druhem jako z bratem brat,
Z jednego wszyscy światka...
Przy naszym stole miejsce miał
Towarzysz skromny, cichy—
Rzadziej, niż inni, śmiechem siał,
Mniej trącał się w kielichy...
Zaduma mu omgliła skroń,
Szedł czołem szlak tęsknicy,
I serce miał za całą broń
Na życia targowicy!

. . . .

Niedługo siadał pośród nas:
Przy stole miejsce wolne...

Odleciał hen! jak w zimny czas
Odlata ptaszę polne!
Odleciał hen! w bezkłosną dal,
Jak ptaszę na wyraju!
Zostały tylko: smętek, żal
Za sercem w wiecznym maju!
Została tylko pamięć cna—
Przy stole miejsce puste...
I twoja myśl, serdeczna łza!
Piosenki złotouste!

HEJ DO MNIE! W KRĄG!

Hej do mnie! w krąg!
Dla kogo los
Jedynie czarną miał polewkę,
Komu wytrącił szczęście z rąk,
Kochaną komu zabrał dziewkę...
Hej do mnie! w krąg!
Zanucim w głos!
W głos toastową śpiewkę!

Hej do mnie! pij!
W kielichy dzwoń!
Rój wspomnień przyzwij na rozgrzewkę!
I śnij! jak dawniej śniłeś—śnij!
Tęczowej przędzy nawiń w cewkę...

Hej do mnie! pij!
W kielichy roń!
Roń! toastową śpiewkę!

Hej do mnie! Co,
Że pustym dzban!
Hej srebrnolitą dać konewkę!
Napełnić potem, bólu łzą
Posypiem prochu na panewkę!
Hej do mnie! Co?
Kto ginie—pan!
Pal toastową śpiewkę!

Hej do mnie! w krąg!
Dla kogo los
Jedynie czarną miał polewkę,
Komu wytrącił szczęście z rąk,
Kochaną komu zabrał dziewkę...
Hej do mnie! w krąg!
Zanucim w głos!
W głos! toastową śpiewkę!

SPIS.

Str.

WIEŚ.

MIASTO.